Nr. 35 (1131). Warszawa, dnia 17 (30) Sierpnia 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Zwrot we Francyi.

Rok bieżący w lecie przyniósł kilka objawów budzącego się na nowo we Francyi patryotyzmu rzetelnego, który nad żadną z ran narodowych nie przechodzi do porządku dziennego, żadnego z praw narodowych się nie zrzeka i to, co utracił w boju, bojem też odzyskać pragnie. Wnosząc z usposobienia opinii jawnej, można było już kwestyę alzacką uważać za rozwiązaną stanowczo przez samych Niemców: tak głucho było o Alzacyi, jak gdyby Francya zupełnie się jej już wyrzekła. Zdawało się, że wraz z Gambettą ucichło i hasło dla przyszłości Francyi przez niego wydane. O odwecie głośno nie zamarzył nikt, jak gdyby się marzenia samego wstydzono. Wielka polityka, Chiny, kolonie, przymierza— nienawiść do Anglii, apetyt na Marokko — zacierały już zwolna obrazy „Strasznego Roku,“ a drobne przekąsy, szpilkowe ukłócia, drwiny i podjazdy zastępywały ten zasadniczy opór, tę naturalną w każdym narodzie zdrowym reakcyę, jaką Francuzom dawać powinna pamięć krzywd, strat i nieszczęść 1870 roku. Jeden nawet z przewódców wielkiego stronnictwa, do którego należy przyszłość, Jaurès, nie zawahał się publicznie nazwać kwestyi alzackiej już raz na zawsze przesądzoną, ale stało się to już w tym samym prawie czasie, kiedy padało pierwsze słowo, zdolne zwrócić myśl francuską ku utraconej prowincyi.

Rozlegała się wprawdzie w ostatnich latach, jak i dawniej, systematycznie nuta patryotyzmu na temat Alzacyi; ale nie była ona nigdy, jak i teraz nie jest, szczerą. Nacyonaliści ze swych deklamacyj kuli tylko broń przeciwko rządowi republikańskiemu i samej rzeczypospolitej. Wybębniany ten po rynkach patryotyzm nie ma żadnego znaczenia sam przez się. Wagę symptomatyczną w roku bieżącym może mieć dopiero przemówienie Loubeta w Le Mans d. 22 czerwca. Nie zwrócono na nie dostatecznej uwagi w chwili właściwej. Słowo prezydenta: „Niema dwóch serc: jest tylko jedno i bije dla ojczyzny tem żywiej, gdy jest zagrożona. Młodym pokoleniom trzeba wszczepiać pamięć takich mężów, jak Gambetta, Chanzy, Garibaldi; nauczy ona młodzież francuską bezgranicznego poświęcenia, zaparcia się własnych widoków i oddania się wyłącznie wielkości i dobru rzeczypospolitej.“ Tak przemawiał Loubet do przedstawicieli Nizzy na turniej gimnastyczny w Le Mans przybyłych. Trzy nazwiska wskazują rok 1871, rok rozpaczliwych zapasów z najazdem niemieckim i każdemu przypomnieć musiały tę Alzacyę, której prezydent rzeczypospolitej głośno wymienić nie mógł. Z samego rządu również wyszedł i drugi objaw: mowa przed dwoma tygodniami powiedziana w Villefranche przez ministra wojny, Andrégo, na odsłonieniu pomnika dla poległych w latach 1870—1. Jest to objaw znamienny.

Błędnem, a krzywdzącem przedstawiciela rządu jest lekceważenie tej mowy w Villefranche jako głosu patryotycznego i zapatrywanie się na nią tylko ze stanowiska taktyki politycznej. Rząd—prawią—szuka dla siebie korzystnej dywersyi, chce odwrócić uwagę od brzydkiej, niepopularnej walki z zakonami i szkołami zakonnemi — hasłem popularnem, dla serc francuskich drogiem, a ze wspomnień r. 1870 samorodnie jakby wybuchającem. Ale André powiedział więcej, niż mu nakazywała wrzekoma taktyka: w głosie jego zadrżała szczera boleść nad klęską narodową, a nazwanie przyszłego żołnierza Francyi jej mścicielem, powołanie go do przywrócenia ojczyznie jej materyalnej wielkości, w ustach ministeryalnych było nawet, wobec wymagań etykiety dyplomatycznej, tak śmiałem, że mogło dać powód do żądania wyjaśnień. Zacietrzewienie stronnicze musi już pogwałcić zdrowy rozsądek, aby mowę w Villefranche nazwać tylko manewrem taktycznym rządu. Nie dla manewrów, nie dla okłamywania wrzekomo krzywdzonego na innym punkcie narodu mówi się o sztandarze Belfortu, nieskalanego w r. 1870/1 stopą niemiecką: „Niechajże ten sztandar spoczywa w narodowej świątyni pamiątek aż do chwili, gdy Francya wszystkich swych synów wezwie znowu do broni.“ Nie, to nie manewr, nie wybieg lub figiel ministeryalny: to serce—serce tylko jednego człowieka, nie całego rządu, ale ten człowiek zasiada w rządzie.

D. 16 b. m. wojsko, władze cywilne i deputowani na pograniczu Francyi od strony Alzato-Lotaryngii obchodzili krwawą pamiątkę walki nieszczęśliwej pod Mars-la-Tour. Armia Bazaine'a, po pierwszej próbie w d. 14 sierpnia 1870 r., na prawym brzegu Mozeli, we dwa dni później spróbowała szczęścia na lewym, aby się wydobyć z uścisków armij niemieckich, które ją pod Metzem zaskoczyły. Próba skończyła się klęską, którą d. 18 t. m. los uwieńczył dla Francuzów pogromem pod St. Privat-Gravelotte. Wszystkie te klęski złożyły się na jedną żałobną pamiątkę. Dowódcy urzędownie uczestniczyli w obchodzie; nie zbrakło na nim i Alzacyi, w osobach kilkunastu Alzatczyków, którzy przez granicę się przekradli. Generałowie prze-

mawiali tak patryotycznie, że jeden z nich, do Alzatczyków zwrócony, powiedział: „Zanieście im od nas pozdrowienie braterskie; niechaj pozostaną Francuzami, niechaj w nich nie zamiera nadzieja, że kiedyś nastanie dzień, który powetuje klęski przeszłości.“ To chyba dość wyraźne i dość dla Niemców niegrzeczne. Biskup z Nancy w rzewnem przemówieniu swojem obrazowo przedstawił Alzacyę jako siostrę w więzieniu jęczącą: „Jakże długo będę na was czekała? Kiedyż przyjdziecie mnie wyzwolić?“ Niesłychany zapał dał odpowiedź jeszcze bez terminu. ale już z przyrzeczeniem. Cały ten obchód nie był robiony; sam z dusz się wyłonił i duchowe też tylko znaczenie jego poważnie zajmować może, ale też i zajmować powinno, publicystykę— sięgającą po za chwilę bieżącą. W narodzie francuskim, w jego głębinie zaczyna się wytwarzać jakiś nowy prąd— z którego wyjść mogą nowe dziejowe nurty.

Sejmy krajowe w Austryi.

(Dokończenie).

Powodem więc niepowodzenia ugody w Tyrolu była chęć każdego szczepu nietylko obrony swego — jak się tu mówi — „stanu posiadania,“ ale i powiększania go drogą narzucenia swej narodowości innym. Pomimo to jednak sprawata nie byłaby się z pewnością rozbiła o te kilkadziesiąt tysięcy Ladynów, gdyby po obu stronach istniała szczera chęć porozumienia się i pokoju. Ale właśnie chęci tej niema — i to nietylko w Tyrolu, ale nigdzie. Pomijając już to, że hasła walki czysto narodowościowej służą stronnictwom mieszczańskim do odwrócenia uwagi i sympatyi mas ludowych od haseł społecznych — każda narodowość w danym kraju albo jest w większości, i wtedy bezwzględnie z tego korzysta, albo spodziewa się z czasem zostać większością, albo — ogólniej biorąc — pełna podejrzliwości względem państwa austryackiego i nieufności w jego normalny rozwój, woli prowizoryum, czekając na jakąś sposobność korzystniejszego zaspokojenia swych pretensyj.

Ci sami Włosi, uciskani w Tyrolu — w Istryi, gdzie mają większość w sejmie (jeśli nie w kraju) uciskają tak bezwzględnie Słoweńców, że nie dali im w tym roku ani jednego miejsca w komisyach, ponieważ Słoweńcy nie zgodzili się mówić w sejmie wyłącznie po włosku.

Ci sami Słoweńcy — pod nazwą Kroatów — zdobywszy wreszcie większość w sejmie dalmackim, gnębią Włochów, odmawiając w budżecie kredytów na włoskie wydanie dziennika urzędowego, rugując — pośredniemi drogami język włoski ze szkół.

Niemcy, którzy w Tyrolu uciskają Włochów, w Styryi doprowadzili Słoweńców do tego, że od lat już kilku nie zjawiają się wcale w sejmie, a na Morawach i Śląsku, mając jeszcze, dzięki ordynacyom wyborczym, większość w sejmie pomimo mniejszości w kraju, kroku dobrowolnie ustąpić nie chcą. Sami znów skarżą się na ucisk w Czechach, gdzie już są w mniejszości i żądają podziału kraju, wyodrębnienia okręgów niemieckich — na co Czesi, w nadziei zupełnego ich z czasem wyparcia, zgodzić się nie chcą. I tak wszędzie.

W parlamencie centralnym poważnem echem odbija się prawie wyłącznie walka Niemców z Czechami, gdyż Polacy galicyjscy są tak dalece zadowoleni, że nawet Polakom śląskim ze skuteczną pomocą nie przychodzą, a inne narodowości — choćby chciały — za mało mają siły. Otóż ten jedyny dla państwa istotnie obecnie niebezpieczny antagonizm czesko-niemiecki od pewnego czasu przycichł znacznie. Niemcy, jako strona broniąca się i czerpiąca korzyści z pokoju, pierwsi go się naruszać nie kwapią; Czesi zaś, a mianowicie Młodoczesi, stracili dziś bardzo wiele ze swego radykalizmu i do ataku bez względu na następstwa nie mają odwagi. Nie chcą mianowicie zaszkodzić załatwieniu poważnych interesów ekonomicznych, które zręczna inicyatywa p. Korbera albo sam rozwój stosunków wciąż wysuwają. Tak było w parlamencie z kanałami i budowlami; tak było podczas sesyi w sejmie praskim z „uzdrowieniem“ finansów krajowych za pomocą znacznego dodatku do podatku od piwa. Rzecz ciekawa, że wszystkie stronnictwa sejmu, nie wyłączając ani wszechniemców, ani radykalistów czeskich, wzięły udział w delegacyach do prezesa ministrów, aby ten dodatek zatwierdził. I wogóle, między wrogimi narodami panował w sejmie przykładny pokój; Niemcy w mowach swych radzili sprawę ostatecznej ugody odsunąć na „boczne szyny,“ Czesi odgrażali się, że przy rozprawach nad ugodą z Węgrami w parlamencie upomną się o język czeski urzędowy. Jednak ogólne wrażenie jest takie, że jeśli tylko p. Körber wytarguje jakieś korzyści dla Przedlitawii od p. Szella, o czem pomówimy innym razem, to Czesi nie będą mieli odwagi przeszkodzić im za pomocą obstrukcyi i dadzą się kupić za jakieś drobne, doraźne ustępstwa. Żadnego adresu o prawie państwowem sejm tym razem nie uchwalił, a Młodoczesi odmówili nawet podpisów na wniosku radykała Baxy, aby małżeństwo morganatyczne następcy tronu zostało notyfikowane sejmowi czeskiemu, jak było notyfikowane sejmowi węgierskiemu.

Zato na południu, w Zarze, sejm dalmacki po raz pierwszy uchwalił adres do cesarza o odłączenie Dalmacyi od Przedlitawii, a Kroacyi i Slawonii od Węgier i połączenie ich w osobne królestwo pod jego berłem; jeden poseł, ksiądz Prodan, oświadczył, że przysięgę składa nie cesarzowi austryackiemu, lecz tylko królowi Kroacyi; inny wyraził żal, że Kroaci walczyli razem z Austryą przeciw Turcyi, bo gdyby byli pozostali pod berłem sułtanów, dziś mieliby już niepodległość, jak Serbowie i Bułgarowie. Ale o Kroatów p. Korbera głowa nie boli: posłał im po raz pierwszy od dawnego czasu—namiestnika cywilnego zamiast wojskowego i z całą flegmą pozwala im się — wyszumieć.

Jednym z najskuteczniejszych sposobów załatwienia sporów narodowościowych byłoby wprowadzenie głosowania powszechnego przy wyborach do sejmów ze zmienienieniem dotychczasowych „kuryj“ uprzywilejowanych: wielkiej własności, izb handlowych, miast i drobnej własności wiejskiej. Wtedy stosunek sił narodowości i ich rozmieszczenie terytoryalne wystąpiłyby jak najwyraźniej i w sejmach, gdy tymczasem reprezentacya kuryalna obraz ten wypacza i zaciemnia. Ale właśnie dlatego, oraz dla względów polityki klasowej, stronnictwa rządzące wszelkich narodowości na taki „przewrót“ za nic się nie zgodzą i wogóle nie mają ochoty nawet na skromne rozszerzenie prawa wyborczego. O ile gdzieś ustąpią nieco przed wzrastającą agitacyą w tym kierunku, to rząd przychodzi im z pomocą, odmawiając niezbędnej sankcyi cesarskiej uchwałom sejmów. Dr. Korber postawił za zasadę, że nigdzie prawo wyborcze krajowe nie może być szersze, niż do parlamentu, gdzie wyraża się ono, jak wiadomo, w istnieniu obok czterech kuryj uprzywilejowanych piątej „powszechnej,“ w której wszyscy uprzywilejowani głosują powtórnie. Dalej nieco idące uchwały zeszłoroczne sejmu karyntyjskiego

---

Adolf Cambanaire.

Orangutangi.

(Dokończenie).

Od Chińczyka, handlującego orangutangami, przybył posłaniec z zawiadomieniem, że dnia następnego miało się odbyć polowanie na te zwierzęta. Zabrawszy trochę żywności, puściliśmy się w drogę. Musieliśmy się spieszyć, aby przed nocą stanąć w obozie. Tu przyjął nas Chińczyk; uwagę moją zwróciły odrazu trzy olbrzymie pudła drewniane, z jednej strony zamknięte grubymi prętami żelaznymi. To były klatki, przygotowane na orangutangi. Chińczyk nie miał najmniejszej wątpliwości co do powodzenia wyprawy i wyraził mi swoją nadzieję, że się obejdzie bez straty w ludziach.

Przez całą noc w obozowisku panowało ożywienie niezwykłe; paliły się ognie, i rozmawiano do świtu. Był to rodzaj czuwania zbrojnego, dowodzący, jak żywo Dayakowie interesowali się tem polowaniem, podczas którego niejednemu z nich mogła nadarzyć się sposobność okazania swej odwagi, popisania się mężtwem.

O pierwszym brzasku dnia całe obozowisko było już na nogach. Chińczyk wyruszył, a za nim poszli prawie wszyscy. Pozostało tylko kilka starych kobiet dla czuwania nad dziećmi. Właściwe czynności jednak, jak nam zapowiedziano, miały się rozpocząć dopiero o dziewiątej; ja więc i mój towarzysz Chińczyk wyszliśmy tak, aby stanąć na gruncie polowania we właściwym czasie.

Wpośród rozległej, wolnej przestrzeni pod zasiewem ryżu, pozostawiono pas drzew na szerokość pięćdziesięciu metrów. Zrozumiałem, jak łatwo było spędzić całą gromadę orangutangów do tej wązkiej zatoki leśnej i następnie odosobnić je przez wycięcie drzew. Na samym końcu zachowano jedno wielkie drzewo, na którem miał się odegrać ostatni akt sprawy. Dayakowie z dzikim wrzaskiem waląc w pnie, usiłowali pędzić małpy w tym kierunku. Już tylko jakieś piętnaście drzew stało jeszcze nietkniętych. Orangutangi, zrozumiawszy, do czego je gnała ta zgraja ludzka, nie chciały zmieniać miejsca.

Wówczas wzięto się do toporów, a kiedy drzewa zaczynały się chwiać, małpy z okrzykiem gniewu przenosiły się na inne, na razie bezpieczniejsze, aż wreszcie przeszły na to, na którem je miano ostatecznie otoczyć. W jednej chwili rzucono się do oczyszczenia placu naokoło drzewa; bliongi i parangi (topory) pracowały wściekle: biedne orangutangi nie miały już gdzie uchodzić.

Przez lornetę przypatrywałem się im.

Było ich około dziesięć, wśród tych dwie czy trzy samice miały małe. Kiedy zmieniały miejsce, dzieci sadowiły się pod brzuchem matki, rękami obejmując ją za szyję, a nogami obwijając się dokoła ciała; tak obciążone zwierzę poruszało się z nadzwyczajną ostrożnością.

Jeden z orangutangów wydał mi się nadewszystko ogromny: mierzył na pewno z metr sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Wyczerpany widocznie od ciągłego ryku, usadowił się na dwóch widłowatych gałęziach i pokazywał zęby, co nie wydało mi się dobrze wróżącem dla pomyślnego za-

i projekty — styryjskiego, zostały przez „nowożytnego“ prezesa ministrów odrzucone. W tym roku sejmy te znów zajmowały się reformą wyborczą. W sejmie karyntyjskim 10 posłów z wielkiej własności, reprezentujących 100 wyborców, targowało się do upadłego, nie chcąc przyznać setkom tysięcy wyborców z kuryi powszechnej 7, lecz tylko 3 przedstawicieli! W końcu reformę, wprowadzającą kuryę powszechną, uchwalono, lecz umyślnie oznaczono czas osiadłości, niezbędny do głosowania, na rok, zamiast pół roku, jak przy wyborach do parlamentu, aby dać przez to pretekst rządowi znowu do niezatwierdzenia uchwały... W Styryi reforma nie doszła do skutku, bo klerykali żądali od większości „ludowców“ (!) niemieckich przyznania dwóch nowych mandatów wsiom, albo zrzeczenia się powiększenia o tyleż liczby mandatów miejskich, a nie uzyskawszy zgody, wyszli z sali, co uniemożebniło uchwałę, gdyż wymagalna jest do niej obecność $^3/_4$ posłów. W Austryi Górnej w taki sam sposób i dla tych samych powodów uniemożebniła reformę mniejszość liberalna. Teraz klerykali spędzają winę na liberałów, a liberali na klerykałów. Jedni warci drugich. W gruncie rzeczy jedni i drudzy ogromnie zadowoleni są z tego, że nawet tak drobna reforma do skutku nie doszła. Jedynie sejm malutkiego kraiku (130,000 ludności) Vorarlbergu, gdzie niema żywiołów opozycyjnych, i rada miasta wolnego, Tryestu, która dla celów narodowych chce się oprzeć na ludzie włoskim, na seryo uchwaliły wprowadzenie piątej kuryi. Na Morawach i Śląsku sejmy odrzuciły nawet projekty zniesienia głosowania jawnego i pośredniego, które wydaje wyborców na pastwę prześladowań za przekonania, a delegatów wyborczych — na pastwę korupcyi i teroryzmu.

Obrazu działalności sejmów krajowych dopełnia — zupełny brak jakiejkolwiek myśli nawet o reformach społecznych. Przepraszam! W sejmie dolno-austryackim, gdzie rządzi antysemicko-klerykalna klika Luegerowska, referent większości, niejaki dr. Scheicher, proponował zaradzić brakowi robotników na wsi przez: ograniczenie swobód robotnika w mieście, aby wieśniaka nęciły mniej, przez przymusowe wysyłanie na wieś tych, którzy nie znajdują pracy w mieście, zakaz noszenia miejskich ubiorów przez chłopów i wprowadzenia majstersztyków, jak w cechach miejskich! Skończyło się na wyznaczeniu dla wiernych parobków i dziewek — nagród po 20 koron!

Dzisiejsze sejmy prowincyonalne są zupełnie nieudolne i wsteczne tak w dziedzinie narodowościowej, jak czysto politycznej, jak wreszcie i społecznej. O galicyjskim nie wspominałem, bo należy do kolegi Dalekiego; ale chyba nikt nie przypuści, aby był od tej ogólnej reguły wyjątkiem...

z. z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Oburzenie się telegraficzne cesarza Wilhelma na bawarską Izbę posłów, umyślnie przez niego ogłoszone, wbrew księciu Luitpoldowi, który przecież jest jeszcze gospodarzem na swej ziemi — wywołuje w Bawaryi słuszne oburzenie dziennikarskie. Dzienniki jako tako-niezawisłe dopominają się na przyszłość zastosowania zasady odpowiedzialności ministrów, wpisanej w konstytucyę związkową z d. 16 kwietnia 1871 r. i nawołują p. Bülowa do korzystania ze swych praw wobec cesarza. Skutku z tego nie będzie, bo wobec cesarza, nie w konstytucyi, ale w życiu, kanclerz ma tylko obowiązki, a nie prawa. O co się rozbił Bismarck, o to w drobne kawałki rozprysnąłby się taki p. Bülow. Przyszli historycy mieliby kłopot ze sklejeniem go w statuetkę dziejową.

Nic też pewno nie będzie z interpelacyi, którą się odgrażają — głośny bęben za górą — posłowie bawarscy, mogący liczyć na poparcie wolnomyślnych i socyalistów. Do zebrania się sejmu, zapewne w listopadzie, niejeden jeszcze zimny wiatr ochłodzi rozpalone głowy, a polityka anty-polska wynagrodzi konstytucyjne serca za krzywdę doznaną w Bawaryi.

W Poznaniu arcybiskup Stablewski będzie na powitaniu cesarza. Podobno nieodwrócona konieczność nie pozwoliła mu chociażby tylko zachorować. Na rewiach prócz innych książąt krwi będzie i Ferdynand Franciszek austryacki — ale tylko na rewiach, jak zapewnia reporterya telegraficzna. Arcyksięciu trudniej będzie nie wjechać do Poznania, gdy już się znajdzie pod Poznaniem, niż byłoby nie jeździć wcale pod Poznań. Hakata zapowiada mowę cesarza i z góry już zaciera ręce.

D. 18 sierpnia zebrały się rady generalne francuskie. Większość tych rad wyraziła uznanie dla polityki rządowej względem zakonów. Czterdzieści siedem organów departamentowych pochwaliło rząd *sans phrase*, pięć z zastrzeżeniami, razem 52 z ogólnej liczby 86. Przeciwko rządowi wystąpiły 4 absolutnie, 13 zażądało otworzenia szkół zakonnych napowrót, 13 zganiło rząd ogólnikowo, 2 dopomniały się swobody nauczania. Rząd ma podobno rozwinąć cały systemat szkół ludowych kosztem nadzwyczajnego nakładu stu kilkudziesięciu milionów franków. Papież nakazał nie drażnić rządu. Agitacya przenosi się na pole podatkowe. Coppee i Drumont wzywają naród do niepłacenia podatków — rządowi, który ich na złe używa.

W przetworzonym gabinecie angielskim zasiedli jako nowi: Dudley — wicekról, Wyndham — sekretarz stanu Irlandyi, Austen Chamberlain — pocztmistrz generalny, Ritchie — skarb, Acker Douglas — sprawy wewnętrzne, Londonderry — minister oświaty, jakiego dotychczas nie było w Anglii, choć była przecież oświata; Walrond — kanclerz księstwa Lancaster, nakoniec sam prezes Balfour — strażnik tajnej pieczęci.

Rada związkowa szwajcarska nakazała jedenastu stowarzyszeniom żeńskim w St. Gallen, Vaud i Wallis w ciągu trzech miesięcy opuścić terytoryum związku.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Cuda zamorskie.

Wyjaśniam odrazu, że mam na myśli Nową Zelandyę, a mianowicie jej urządzenia społeczne. Od lat kilku wieści o nich wywołują sensacyę w starej Europie, namyślającej się przez dziesiątki lat nad każdą najskromniejszą reformą, zmuszonej godzić kompromisowo na każdym kroku najsprzeczniejsze interesy i zasady. Tymczasem stamtąd dobiegła niedawno wiadomość: kobiety otrzymały bez zastrzeżeń prawo głosu przy wyborach do parlamentu! Kiedyindziej — zdumiona Europa dowiedziała się, że Nowa Zelandya jest „krajem bez strejków,“ dzięki doskonałej organizacyi obowiązkowych sądów rozjemnych! itd. itd.

Kto znał już te fakty i zainteresowany był nimi, tego również zdziwiła — ale inaczej zdziwiła — wiadomość, że Nowa Zelandya, wraz z innemi koloniami angielskiemi, wzięła udział bardzo gorliwy, a nawet pełen zapału udział w zaborczej wyprawie Anglii przeciw republikom boerskim, że posłała do Afryki południowej oddział ochotniczy, który nie mniej, jeśli nie bardziej barbarzyńsko sobie poczynał od reszty wojska, i że wogóle w wybuchach szowinizmu nie pozostała w tyle po za me-

kończenia sprawy. Dokoła niego zgromadziło się kilka innych, które, choć nie tak potężnego, jak on, kształtu, nie mniej jednak silną odznaczały się postawą.

Na to ostatnie drzewo, które pozostało jeszcze nietknięte, gromada Dayaków, uzbrojonych w siekiery, rzuciła się z zaciekłością. Dziwiło mię, że małpy nie próbowały walki z tymi napastnikami, zagrażającymi ostatniemu ich schronieniu. Chińczyk zapewnił mię jednak że orangutang tylko wtedy schodzi z drzewa, kiedy ma pewność, że ono upadnie.

Sprawa szybkiem tempem zmierzała ku końcowi. Jeden z wodzów nakazał kobietom i dzieciom usunąć się z pod drzewa, aby nie krępowały mężczyzn, którzy otoczyli je już szerokiem kołem. Było ich z sześćdziesięciu — wszyscy z obu obozowisk. Tuż obok leżały dwa wielkie drągi, kilka par wideł z twardego drzewa, a nawet siatka.

Orangutangi tymczasem skupiły się na wyższych gałęziach i zdawały się naradzać, jak dalej postępować. Chińczyk krążył dokoła i każdemu z ludzi dawał garść pieprzu miałko sproszkowanego.

Koniec się zbliżał.

Na wszelki wypadek opatrzyłem naboje mojej fuzyi.

Nagle wśród wrzawy, wybuchającej zewsząd, drzewo zaczęło się pochylać, a orangutangi, jak gdyby na to tylko czekały, aby się upewnić, że w ucieczce szukać muszą ratunku, szybko jeden po drugim zsuwały się wzdłuż pnia.

Największy spuszczał się pierwszy, co chwilę odwracając głowę, jak gdyby chciał obliczyć przed walką siły oczekującego nieprzyjaciela.

Chwila była uroczysta. Spojrzałem na Dayaków. Wobec tego olbrzymiego zwierzęcia, które na pewno miało kazać drogo zapłacić za swą wolność, widziałem jasno, że niektórym z nich przyjdzie oddać życie. Ale ani jeden nie drgnął: każdy na pewno pragnął gorąco zmierzyć się pierwszy z tem kosmatem stworzeniem i obezwładnić je w walce.

Po sekundzie wahania orangutang zeskoczył na ziemię i znikł mi z oczu. Lecz zaraz potem zobaczyłem go, biegnącego na czworakach w tę stronę, gdzie pietnastu Dayaków zagradzało mu drogę do ucieczki. Tuż przed nimi podniósł się z ziemi i, stanąwszy wyprostowany, wyciągnął swe kosmate ramiona, gotowe miażdżyć głowy i ciała. Był to widok niedający się zapomnieć! Tymczasem najbliżej stojący Dayak z najzupełniejszym spokojem podniósł rękę i rzucił mu w twarz, przed chwilą otrzymaną, garść pieprzu; nagle oślepiony zwierz ryknął straszliwie i, wyciągając swe długie ramiona, schwycił i powalił jednego z ludzi. W jednej chwili otoczyli go Dayakowie, i z tyłu w kilku opanowali ręce i zaczęli nakładać pęta na nogi. Orangutang upadł na czworaki i jednem szarpnięciem wyswobodził rękę, odrzucając daleko tych, którzy mu ją przytrzymywali. I znowu straszny zwierz podniósł się do ostatecznej obrony. Lecz oślepiony pieprzem nie spostrzegł wideł, w które ujęto zręcznie potężny jego kark, nie widział nieprzyjaciół, którzy rzucili się na niego, aby go obezwładnić. Skrępowany zaczął kąsać wściekle widły, które trzeszczały, lecz już za późno; mocno związane zamieniły się w kleszcze, a on szarpany runął na wznak, rycząc z rozpaczy i bólu w oczach.

Zajęty tą nierówną walką jednego przeciw dwudziestu, nie zauważyłem, że wszystkie małpy poszły za przykładem swego przewodnika, i że na innych punktach

tropolią i resztą „imperyum.“ Prezes ministrów nowo-zelandzkich, Mister Seddon, który świeżo wziął udział w konferencyi premierów wszystkich kolonij angielskich pod prezydencyą Chamberlaina, po drodze z ojczyzny swej do Londynu zawadził o Przylądek Dobrej Nadziei i wygłosił tam gorącą mowę przeciwko robieniu zwyciężonym jakichkolwiek ustępstw, któreby mogły zmiejszyć owoce pracy zwycięzców. Mowa ta w Europie, nawet w porównaniu do dyplomacyi Chamberlainowskiej, sprawiła wrażenie „stąpania ciężkich butów chłopskich po śliskiej posadzce...“ Jednem słowem Nowa Zelandya zrobiła taki sam zawód tym, ktorzy z uznaniem podziwiali jej urządzenia polityczne i społeczne i domyślali się istnienia odpowiedniego im ducha, jak Stany Zjednoczone Ameryki Północnej — swą polityką względem Filipińczyków i objawami podobnymi, po których już bez zakrztuszenia się mogły przyjąć ofiarowany im przez Willhelma II pomnik Fryderyka II...

Mieliśmy kiedyś już sposobność wyświetlić głębsze, ekonomiczne podstawy takiej zmiany charakteru republiki północno-amerykańskiej*) dziś, przy pomocy M. Beera, gruntownego znawcy świata anglo-saksońskiego, postaramy się zdać sobie sprawę z prawdziwej natury ustroju społecznego i polityki Nowej Zelandyi.

Nowa Zelandya jest dzisiaj ze wszystkich krajów na kuli ziemskiej tym, w którym państwo, rząd, największe posiada atrybucye społeczno - ekonomiczne, wdaje się najczynniej w stosunki między klasami i stara się je uregulować. Lecz dzieje się tak od niedawna. Do końca dziewiątego dziesiątka lat zeszłego stulecia panował w Nowej Zelandyi ten sam liberalizm ekonomiczny, co w Anglii. Do państwa należały jedynie koleje żelazne i jedno przedsiebiorstwo ubezpieczeń na życie; we wszystkich innych zakresach panowała nieograniczona wolna konkurencya kapitałów, tak że zmonopolizowanie najważniejszych gałęzi gospodarstwa narodowego, które w Europie, walcząc z całym szeregiem przeszkód historycznych, dokonywało się przez kilka stuleci, na tej ziemi dziewiczej, pozbawionej historyi i jej przeżytków, dopełniło się z szaloną szybkością w ciągu lat 20. W r. 1890, mówi obrazowo H. D. Lloyd, autor książki o Nowej Zelandyi p. t. „Newest England,“ wszystko było zmonopolizowane: ziemia, ogień (czyli węgiel) i woda (czyli żegluga okrętowa).

*) Ob. „125 lat amerykańskiej historyi“ *Prawda* nr. 39 r. z.

Nieodłączne zjawiska, towarzyszące takiemu stanowi rzeczy nie kazały też na siebie czekać: wstrząśnienia społeczne, liczne strejki: od marynarzy począwszy, kończąc na robotnikach, zatrudnianych przy strzyżeniu wełny. Słabsza ekonomicznie większość kolonistów nie wskórała nic natem polu przeciwko ekonomicznie silniejszej nieznacznej mniejszości monopolistów — poczem zwróciła swe siły do walki politycznej, w której — przeciwnie — bardzo rychło odniosła zwycięztwo. D. 2 września 1889 r. przeprowadzono reformę konstytucyjną, nadającą głosowanie powszechne wszystkim mężczyznom, a dnia 5 grudnia 1890 r. odbyły się na jej zasadzie pierwsze wybory do parlamentu, których rezultatem był natychmiastowy upadek rządu konserwatywnego i zastąpienie go przez demokratyczno - reformatorski: Greya, później Ballance'a.

Pod względem politycznym demokratyczna podstawa parlamentaryzmu nowozelandzkiego rozszerzona została jeszcze nadaniem w r. 1893 prawa głosu kobietom, które go głównie — i bardzo dobrze—używają na walkę przeciw alkoholizmowi. Pod względem zaś ekonomicznym rozpoczęło się wydawanie szeregu praw na polu rolnictwa i przemysłu, zupełnie niepodobnych do europejskich.

Co do rolnictwa, to przed reformą stan rzeczy był taki, że rząd, znajdując się w kłopotach finansowych, sprzedawał za bezcen mnóstwo gruntów— a cały grunt kolonii uważany był prawnie za własność „korony“ — bogatym spekulantom, wskutek czego w r. 1891 już 18 milionów akrów *) gruntu stało się własnością 1,600 osób **), z których 11 posiadało przestrzeń gruntów wartości 125 milionów franków, a inne 107 osób — wartość 175 milionów fr. Otóż prawo z 1892 r. zaraz położyło tamę tej monopolizacyi zupełnie na modłę staro-rzymskiego prawa agrarnego: nie naruszając zresztą własności już rozprzedanych gruntów, postanowiło, że nadal ziemia pozostaje własnością państwa, a prywatnym osobom może być tylko wydzierżawiana, i to w przestrzeniach, ograniczonych do pewnego *maximum* dla każdego dzierżawcy. Prawo z r. 1894 poszło jeszcze o krok dalej, upoważniając rząd w pewnych warunkach do przymusowego wykupna dotychczasowych latifundyów. Wprawdzie w praktyce nie doszło do tego, ale ponieważ prawodawstwo ułatwiło niezmiernie rolnikom nabywanie gruntów tytułem dzierżawy, więc właściciele latifundyów, nie mogąc znaleźć najemników, sami dość licznie odprzedawali swe posiadłości rządowi.

*) Akr. = 0,7 morgi, lub 0,4 hektara. —

**) Dla zoryentowania zaznaczamy, że N. Zelandya ma niecały milion ludności na przestrzeni, prawie równej Anglii, Szkocyi i Irlandyi.

Równolegle rozwijało się prawodawstwo fabryczne: w ciągu tych 12 lat wykazać można 29 różnych praw! Najważniejsze są: prawo o sądach rozjemczych z r. 1894, poprawiane i dopełniane w r. 1900 i 1901, *Factory Act* z 1894 również, oraz *The Public Contract Act* z 1900, dotyczące robót, oddawanych przez państwo przedsiebiorcom. Robót tych jest w Nowej Zelandyi stosunkowo bardzo wiele: otóż przy wszystkich w zawartym kontrakcie przedsiebiorca zobowiązać się musi do przestrzegania różnych warunków, korzystnych dla robotników. Co do opieki nad pracą w fabrykach, to rozciąga się ona na wszystkie zakłady przemysłowe, w których pracuje choćby dwóch najemników, a również na robotników rolnych, przynajmniej o tyle, że ich mieszkania i sypialnie, tak samo jak warsztaty przemysłowe, odpowiadać muszą pewnym wymaganiom hygienicznym. Na wszystkich towarach, wytworzonych po za warsztatami, ulegającymi kontroli, musi znajdować się osobna marka, a to dlatego, żeby módz dotrzeć i do pracy domowej i zapobiegać *sweating-systemowi* (wyzyskiwaniu robotników, pracujacych dla fabrykanta u siebie w domu) — gdyby się ten system zaczął rozwijać. Dzieci niewolno zatrudniać w warsztatach aż do lat 15. Nad wykonaniem tego prawa w tym mało zaludnionym kraju, w tych niewielkich miastach, czuwa — a więc skutecznie czuwać może — aż 150 inspektorów. Istnieje też prawo z r. 1898, zapewniające każdemu potrzebującemu obywatelowi, mężczyznie czy kobiecie, nie wyłączając nawet tubylców Maorisów, po skończeniu 65 lat życia (jeśli mieszkał przez 25 lat w N. Zelandyi) emeryturę w sumie około 500 fr. rocznie.

Najsławniejsze jednak jest prawo o sądach polubownych, dzięki któremu właśnie N. Zelandya jest krajem bez strejków. Kraj podzielony jest na sześć okręgów, i w każdym istnieje sąd polubowny, złożony z dwóch sędziów, wybranych przez stowarzyszenia przedsiebiorców, z dwóch — wybranych przez stowarzyszenia robotników, i z prezesa, wybranego przez tych czterech sędziów. W razie zatargu między przedsiebiorcą a robotnikami, jeżeli *jedna* ze stron odwoła się do sądu polubownego, to już drugiej nie wolno strejkować albo wydalać robotników pod karą 50 funtów sterlingów (500 rubli). Sąd okręgowy po zbadaniu sprawy proponuje warunki zgody, które

---

wrzała też walka. Jeden z orangutangów, niezupełnie oślepiony, wyswobodził się i rzucił na ludzi. Ci zagrodzili mu drogę drągiem trzymanym z obu końców. Jak błyskawica chwycił się go zwierz obu rękami, wstając na nogi; lecz Dayakowie pchnęli drąg z całej siły na niego, przewrócili go na grzbiet i w oka mgnieniu spętali.

Jedną z samic, która nie chciała porzucić dziecka, przeszyto na wylot dzidą. Powalona, przyciskała do piersi małe, które wrzeszczało przerażone; a drugą ręką machinalnie rwała trawę, zatykając olbrzymią ranę w boku.

Strasznie było patrzeć, jak potem dłoń zbroczoną przytykała do nosa, nie rozumiejąc widocznie, co za okropna rzecz z nią się stała. Nie mogąc dłużej patrzeć na to, kazałem usunąć się ludziom i jednym strzałem zgruchotałem jej czaszkę, ażeby położyć koniec męczarniom biednego stworzenia. Małe zaczęło wówczas wyć z bólu, a matka przyciskać je jeszcze silniej, jak gdyby do ostatniego tchnienia bronić chciała. Aż któryś z Dayaków wyrwał małpiątko brutalnie z objęć matki, która jeszcze kąsać próbowałe, wreszcie dobito ją uderzeniem maczugi.

Miałem szaloną ochotę wypoliczkować Chińczyka, który tych wszystkich ludzi używał do tak nikczemnej roboty.

Wyprawa ostatecznie udała się: złowiono jednego olbrzymiego orangutanga, dwa dorosłe i jedno małe; reszta uciekła. Przyniesiono klatki i biedne, spętane stworzenia zamknięto w nich bez najmniejszego trudu.

. . . .

Ten sam Chińczyk opowiadał mi, że w górach, oddzielających dolinę rzeki Kapoas od doliny rzeki Kotei, żyją ludzie tak dzicy, jak małpy, znani pod nazwą Orang-Mourong, których kolumna pacierzowa zakończona jest ogonkiem. Żyją oni nieznani, gdyż starannie unikają zetknięcia z innymi ludźmi.

W opowiadaniu Chińczyka nie brakło akcentów prawdy choć temu, co mówił, wierzyć mi się nie chciało. Handlował on nawet podobno z tymi dzikimi przez trzy lata w następujący sposób: Podpływał na łodzi malajskiej, jak można najdalej do ich siedlisk w niedostępnych i niezbadanych okolicach, nad brzegami rzeki Duri, gdzie jednemu ze swych ludzi kazał przez cały ranek uderzać w kawałek dźwięcznego drzewa; poczem rozłożywszy na brzegu porcye tytuniu i soli, odpływał z powrotem, jak można najdalej. Zwołani przez ten dźwięk ludzie z ogonami, przychodzili, zapewniwszy się, że nie grozi im żadne podejście, zabierali sól i tytuń, zostawiając natomiast trochę piasku złotego. Chińczyk zapewniał mię, że znalazłszy się raz niespodzianie obok jednego z tych ludzi, widział na własne oczy ten ogonek, długi na trzy do czterech centymetrów. Wszyscy zamieszkujący Borneo Dayakowie, Malajczycy, Chińczycy, Europejczycy są przekonani o istnieniu tych ludzi; a niektórzy utrzymują nawet, że byli świadkami różnych objawów ich życia napoły ludzkiego, napoły zwierzęcego. Byłyżby to więc owe istoty, mające stanowić rzeczywisty łącznik między człowiekiem a małpą, ogniwo brakujące a istotniejsze od domniemalnego Pithecanthropusa?



jeśli przez obie strony zostaną przyjęte, nie mogą być naruszone w ciągu pół roku pod karą 500 f. st.; jeśli nie zostały przyjęte, to pozostaje apelacya do jedynego na cały kraj wyższego sądu rozjemczego, którego wyrok ma moc prawną bez względu na wolę stron, musi być przyjęty; sąd ten zaś składa się z prezesa i trzech sędziów, mianowanych przez rząd, z jednego przedstawiciela zorganizowanych przedsiębiorców i jednego — robotników. Rząd wszelkiemi siłami skłania robotników do zawiązywania stowarzyszeń zawodowych, gdyż te w razie złamania wyroku polubownego mogłyby być poszukiwane pieniężnie prędzej, niż oddzielni robotnicy, więc dają gwarancyę spokoju.

Gdy Millerand we Francyi chciał zrobić coś podobnego, znacznie zresztą łagodniejszego, zakrzyczały go obie strony interesowane i projekt został pogrzebany. Urządzenie to, choć w części, dość nieśmiało, naśladowane przez Kanadę i Australię, jest dla Europy przynajmniej — zdumiewające. Ale teraz właśnie czas przyjrzeć się jego podstawom realnym, ekonomicznym.

Otóż *Nowa Zelandya nie ma wielkiego przemysłu.* Ogólna ilość robotników przemysłowych, podług obliczenia inspektora generalnego i sekretarza biura pracy, Tregeara, wynosi około 30,000, w tej liczbie np. kowali i stelmachów około 3,300, mechaników około 3,600, krawców 5,000, robotników w przemyśle drzewnym 5,000 itd. Gdy wywóz ogólny z Nowej Zelandyi ma wartość 13 milionów funtów st., to na wyroby przemysłowe przypada z tego tylko 55,000 f. st. Oczywiście więc kraj żyje przedewszystkiem z rolnictwa i hodowli owiec, a przemysł jest tam gałęzią gospodarstwa czysto dodatkową i nie wyszedł jeszcze z fazy stosunkowo drobnych przedsiębiorstw. Beerowi nasuwa się nawet analogia z rzemiosłem cechowem: wobec braku wielkiej różnicy, głębokiej przepaści ekonomicznej między przedsiębiorcami a najemnikami takie prawo o obowiązkowych sądach rozjemczych może funkcyonować dość dobrze, utrzymanie „spokoju społecznego,“ zapobieganie ostrym i długotrwałym zatargom nie jest trudniejsze, niż było w rzemiośle cechowem, w minionym nieponowrotnie okresie rozwoju ekonomicznego starej Europy! Wogóle cały ten zbiór praw fabrycznych działał dotychczas dobrze, gdyż nie było grubych ryb, któreby tę sieć rozrywać mogły. Niema w Nowej Zelandyi wielkich kapitalistów i proletaryatu fabrycznego; ludność przemysłowa stanowi względnie jednolity stan średni.

Dla życia ekonomicznego kraju ma natomiast pierwszorzędne znaczenie— rolnictwo i związana z niem hodowla owiec. Na tem polu polityka rządu reformatorskiego zmierzała do *wytworzenia stanu średniego* i dlatego zasada prawna krajowej, społecznej własności gruntów została tu od samego początku naruszona i jest stale naruszana. Samo państwo bowiem gospodaruje bezpośrednio tylko na jednej fermie, obszaru 800 akrów (czyli 18 włók), a to w celu dawania od czasu do czasu roboty pozbawionym jej robotnikom i wychowywania we wzorowej szkole sierot i dzieci opuszczonych. Reszta ziemi jest wydzierżawiona, ale na lat 999, czyli przechodzi właściwie na własność prywatną, tem bardziej, że renta (4% wartości szacunkowej), opłacona przez dzierżawcę rządowi, nie może być później zmieniana, albo — co zdarza się znacznie częściej — wydzierżawiona z prawem kupna po 10 latach gospodarki i dokonaniu pewnych ulepszeń; przyczem tylko jeden dzierżawca lub nabywca nie może otrzymać więcej nad 600 akrów lepszego, 2000 — gorszego gruntu. W ten sposób wytwarza się dość szybko w Nowej Zelandyi rolny stan średni, stan dość zamożnych dzierżawców i właścicieli, a zarazem otwiera się znów na przyszłość — możliwość przynajmniej nowej koncentracyi gruntów, następującej już po okresie samodzielnych drobnych właścicieli, po okresie polityki stanu średniego.

Koniec końców, z powyższego widać, że Nowa Zelandya stanowi społeczeństwo dość mało zróżniczkowane pod względem klasowym, o ustroju dość pierwotnym, wolnym od silnych antagonizmów i od fermentu humanitarno-idealistycznego, który tym antagonizmom zwykle towarzyszy. Równość polityczna, ludowładztwo, jest w takiem społeczeństwie zupełnie naturalnym objawem, jak również pewna sprawiedliwość społeczna, która *suum cuique tribuendo* (oddając każdemu swoje) osiąga równowagę wewnętrzną. Lecz społeczeństwo takie nie bywa dostępne ogólno-ludzkim prądom i popędom, posiadającym już pomimo swej ogólnej podstawy ekonomicznej — coś oderwanego w sobie; z jego wewnętrzną równowagą, równością i sprawiedliwością społeczną doskonale godzić się może ciasny egoizm zbiorowy i brutalność w wystąpieniach na zewnątrz. Z innych powodów jest taką wielko-kapitalistyczna Ameryka Północna, z innych — niemniej zrozumiałych — Nowa Zelandya. Chce ona należeć do uplanowanego przez Chamberlaina, wielkiego zwartego cesarsarstwa Wszechanglii; lecz to może stać się fermentem jej dalszego rozwoju ekonomicznego. Gdy zagadnienia walk społecznych stają przed starą Europą po przebyciu całego rozwoju wielko- kapitalistycznego, Nowa Zelandya stoi zaledwie u progu tego rozwoju, i zagadnienia podobne rozwiązuje u siebie w zarodku, niejako w miniaturze. Rozwiązanie takie nie może być uważane za wzór pouczający, a przynajmniej może nim być tylko *mutatis mutandis.* Gdy kapitał wytworzy w N. Zelandyi wielki przemysł i proletaryat, gdy zaruchomi i obdłuży ziemię, dopiero wtedy ciekawem będzie, czy instytucye wyżej opisane ostoją się lub w duchu nowożytnym rozwiną, czy też — padną. W każdym razie znawcy tamtejszych stosunków zaczynają już spostrzegać, że teraźniejszy gabinet Seddona mniej jest pod tymi względami postępowy od poprzednich i że zaczyna się zarysowywać potrosze antagonizm między stanem średnich i drobnych właścicieli rolnych, a miejską ludnością pracującą, któremu towarzyszy powstanie partyi na modłę europejską...

K. Radosławski.

SPRAWA MIESZKANIOWA.

V.

(Dokończenie).

Zaznajomiliśmy się poprzednim razem z mrzonką Anglika Ebenezera Howarda. W chwili, kiedy to piszę, Howard prawdopodobnie wyczekuje w swej izdebce na czwartem piętrze, jak to robił w swoim czasie Fourier, wizyty milionera, a raczej — wyraźmy się w sposób bardziej nowoczesny — miliardera, który zawita pewnego dnia, aby złożyć krocie na „miasta ogrodowe.“ I oto powstaną te bajeczne grody z długiemi cienistemi alejami, z cudownymi portykami, gdzie filozofowie będą opowiadali młodzieży o zagadnieniach życia i dziwach przyrody, z muzeami i halami Ruskina, grody bez domów publicznych i tingeltanglów, bez więzień i sądów, bez koszar i szkół. A gdy ludzie pracujący dowiedzą się w Birminghamie i Sheffieldzie, Liverpolu i Londynie o tem, iż w tych miastach ogrodowych powstała nowa rasa ludzi — każdy mężczyzna to chłop barczysty, promieniejący myślą i radością, każda kobieta — niby Madonna Botticelliego—to wnet porzucą swe fabryki i, mansardy, aby wśród pól i lasów zbudować ku czci i chwale ludzkości symfonie architektoniczne, zwane „miastami ogrodowemi.“ Ale romans ten to sen tylko. Oczekiwany miliarder dotychczas się nie zgłosił, gdyż widocznie uważa za stosowniejsze wydawać swe miliony na utrzymywanie własnego yachtu i własnej Cléo de Merode, a w najgorszym razie zakupywać place — jest to bowiem złoty interes.

Wskutek tego miasta niemieckie, nie chcąc czekać tak długo, wzięły się inaczej do rzeczy. Postanowiono nie szafować gruntem i odtąd oddawać go w dzierżawę pod gwarancyą, że na danym placu zostanie wzniesiony dom o małych mieszkaniach. Will i pałaców ludzkość ma już, chwała Bogu, dosyć, a czas wielki pomyśleć teraz o mieszkaniach dla ludzi pracujących. Najradykalniej ze wszystkich miast postąpił sobie Fryburg, gdyż zasadniczo nie odstępuje ziemi, lecz sam zabudowuje ją odpowiednio urządzonymi domami. Rzecz oczywista, iż rząd miejski nie podnosi komornego co kilka lat, wskutek czego renta może wogóle na całem terytoryum miejskiem wzrastać bardzo wolno. I inne miasta noszą się z zamiarem pójścia w ślady Fryburga, ale dotąd nie mogą zdecydować się, jak zorganizować administracyę domów. Teoretycy sprawy mieszkaniowej, których Niemcy liczą dziś co niemiara, radzą odnajmować domy miejskie „związkom lokatorów.“ Musimy zauważyć, iż w ciągu ostatnich kilku lat lokatorowie, straciwszy nareszcie cierpliwość, zaczęli organizować się politycznie i społecznie. Z jednej strony powstało stronnictwo lokatorów (Mietherpartei), które stawia własnych kandydatów podczas wyborów do rad miejskich. Stronnictwo to jest odłamem miejskim obozu reformy gruntowej, domagającego się upaństwowienia ziemi. Z drugiej strony w 60 z górą miastach niemieckich powstały związki lokatorów, mające na celu walkę przeciwko swawoli kamieniczników. Szerzą przedewszystkiem one znajomość praw, przysługujących lokatorom. Dalej mają swe własne biuro, gdzie każdy lokator, w razie potrzeby może zasięgać rady. Za pomocą prasy dążą do reformy polityki gruntowej, komunikacyi miejskiej, ustawy budowlanej itd. Wreszcie urządzają w sprawach przytoczonych odczyty. Otóż te właśnie „związki lokatorów,“ mogą w bliższej przyszłości odegrać wielką rolę i objąć zarząd nad domami komunalnymi.

Nieco odmiennie ukształtowała się polityka budowlana miast angielskich. Już w 1875 r. prawo Crossa upoważniało do burzenia domów, nieodpowiadających warunkom hygienicznym, i wywłaszczenia gospodarzy. Prawo Torrensa poszło o krok dalej, rozciągając przepisy powyższe na całe dzielnice. Gmina miejska mogła odtąd „oczyszczać“ całe dzielnice hygienicznie. Przytem grunt oczyszczony miała sprzedawać osobom prywatnym tylko pod warunkiem, iż zbudują mieszkania dla tyluż osób, ile wskutek tej poprawy postradało schronienie, i że plan budowy zostanie przedstawiony do zatwierdzenia radzie miejskiej. W 1890 r. udoskonalono prawodawstwo mieszkaniowe. Naprzód zaprowadzono ścisły nadzór sanitarny. Ulice, nieodpowiadające warunkom hygieny, ulegają przebudowaniu, a gospodarze domów wywłaszczeniu, oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem. Stworzono osobne przepisy dla oszacowania tego rodzaju budynków i gruntów. Gmina ma prawo nietylko przebudowywać burzone domy, ale wznosić własne budynki z mieszkaniami dla ludności ubogiej wszędzie, gdzie istnieją jeszcze próżne place. Dość energicznie przeprowadził poprawę stosunków mieszkaniowych Londyn, w myśl ostatnie-

go prawa z r. 1890. Wydano na ten cel 2 miliony funtów szterlingów (20 mil. rubli) i zburzono rudery i lochy, zamieszkiwane przez 16 tys. osób. Zbudowano już natomiast 1908 mieszkań dla 10 tysięcy osób; na ukończeniu jest 1200 mieszkań dla 6 osób, wypracowano wreszcie plan dla dalszych 3700 mieszkań, przeznaczonych dla 20 tys. osób. Ciekawa rzecz, iż reforma przyniosła w ostateczności 3,7% zysku. Świadczy to, iż tego rodzaju poprawę na małą skalę, możnaby wykonać zapomocą prywatnych sił i kapitałów. Z tej właśnie zasady wyszła biedna angielska nauczycielka Octavia Hill, która za pożyczone pieniądze skupowała walące się domy, przebudowywała je na małe mieszkania dla ludzi ubogich, którymi w dodatku jeszcze się później opiekowała.

Jako wybitny przykład prywatnej, a w dodatku nie bezinteresownej, lecz doskonale opłacającej się pomocy na polu sprawy mieszkaniowej, można przytoczyć hotele dla ubogich, o których pisaliśmy obszerniej w artykule p. t. „Przytułki dla ludzi bezdomnych.“ Dziś chcielibyśmy zwrócić uwagę na wzorowe hotele ludowe Millsa w New-Yorku. W każdem wielkiem mieście żyją dziesiątki tysięcy kawalerów i panien, pozbawionych ogniska domowego i zmuszonych odnajmować pokoje od osób prywatnych lub szukać u nich przytułku. Tym oto samotnym chambregarnistom i noclężnikom z klas ubogich poświęcił Mills swe hotele. Są to ośmiopiętrowe budynki, zawierające po 1600 numerów. Pojedyncze numery wynajmowane, jak na stosunki amerykańskie, za bajecznie nizką cenę 40 kop., są wprawdzie szczupłe i urządzone skromnie, ale za to utrzymywane schludnie, ogrzane parą, oświetlone elektrycznie i doskonale wentylowane. Gość hotelowy ma przynajmniej do swego rozporządzenia własny pokój. Z tym większym konfortem zato urządzono sale wspólne, jako to restauracyę, czytelnie, bibliotekę, pokój do gry bilardowej. Hotele ludowe Millsa, które jak zaznaczyliśmy, nie są urządzeniem dobroczynnem, nie mają zatem odrażającego przysmaku jałmużny, są zwykle przepełnione.

Każde miasto europejskie średniej miary, może bez wszelkiego ryzyka dla swych finansów zdobyć się na podobny hotel ludowy, przeznaczony właściwie nie dla przyjezdnych, lecz dla stałych i niestałych mieszkańców, zmuszonych tułać się po cudzych kątach. Może nawet, nie nadwyrężając swej szkatuły, podług wzorów angielskich, sprawić hotelowi organy i utrzymywać osobnego organistę, który osładzałby godziny wieczorne skołatanym pracą mieszkańcom hotelowym. Może przyozdobić ściany kopiami obrazów klasycznych, i wtedy jeszcze wyjdzie na swoje. Może nawet.... ale dajmy spokój tym pobożnym życzeniom i wróćmy na grunt realny.

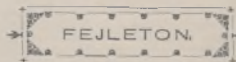
Jeszcze inne obowiązki reformatorskie spoczywają na gminach miejskich. Powinny one przedewszystkiem wprowadzić urząd inspektora mieszkaniowego. Instytucya ta istnieje np. w księstwie Heskiem i w Hamburgu. Inne miasta posiadają ją tylko na papierze. Bez sprężystej, sumiennej a bezstronnej inspekcyi wszelka naprawa stosunków mieszkaniowych jest niemożliwą. Z urzędem tym należy połączyć bezpłatny wykaz mieszkań. Wzory i próby podobnego biura istnieją już w niektórych miastach. Wreszcie wcześniej czy później gminy będą zmuszone przerobić do gruntu swe ustawy budowlane. Zdarzało się, niestety, że niektóre miasta zmieniały swą ordynacyę budowlaną jedynie dla wzbogacenia kamieniczników. Gdy np. zezwalano podnosić wartość domów o jedno lub dwa piętra, to odrazu wartość wszystkich domów i gruntów podskakiwała w górę. Takie fortele antyspołeczne powinny na przyszłość ustać. Zato każde miasto powinno wypracować, odpowiednio do swych warunków historycznych, topograficznych i ekonomicznych, plan budowlany, uwzględniający interesy lokatorów. Wszelki szablon byłby tu szkodliwy, zwłaszcza iż jednomyślna opinia naukowa nie zapadła jeszcze w tej sprawie. Zasługuje na uwagę system, stosowany w niektórych miejscowościach amerykańskich, a właściwie powstały samorzutnie na gruncie tamecznym. Polega on na odróżnianiu ulic i okolic według ich charakteru. Innej budowy i hygieny wymagają ulice wyłącznie handlowe (wielopiętrowe domy mają tu największą racyę bytu), innej zaś ulice wyłącznie mieszkalne, innej znowu dzielnice o charakterze urzędowym. Tyle w ogólnych zarysach o działalności miast.

W ostatnich latach zrehabilitowano niespodziewanie znaczenie akcyi ratunkowej drogą samopomocy. Ta zmiana usposobienia względem *self-helpu* tłomaczy się zmianą jego taktyki i pretensyj. Niegdyś, za pięknych czasów rozkwitu manczesteryzmu, wmawiano w sfery zainteresowane, że mogą same zaradzić klęsce renty miejskiej. Niechaj — wołano — robotnik nie pije, jeszcze więcej, niż dotąd, pracuje, a przedewszystkiem niech będzie oszczędny, a wtedy maluczko — ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka. Jako szczęśliwy posiadacz tej miarki, niechaj zapisze się na członka stowarzyszenia budowlanego. Stowarzyszenie zbuduje mu wspaniały dom, a on będzie go spłacał dopóty, aż nareszcie pokryje całą należność i stanie się panem nieladа, bo prawdziwym właścicielem domu. Teoryą tą kierowały się stowarzyszenia budowlane starej daty, założone w Anglii, Francyi i w Niemczech. Pomysł rozmnożenia kamieniczników okazał się bańką mydlaną, nie dlatego zresztą, aby ludzie byli niegodni ofiarowanej im misyi ratunkowej. Przeciwnie, zgłosiło się sporo naiwnych kandydatów na posiadłość domową. Ale przedewszystkiem robienie oszczędności dla człowieka pracującego nie jest rzeczą tak bardzo łatwą. Gdy np. pracownik podczas siedmiu obfitych lat zebrał tyle grosiwa, aby nabyć dział stowarzyszenia budowlanego i wprowadzić się z zadartą do góry głową do własnego domku, to potem następowało siedem lat głodnych, kiedy zarabiał bardzo mało i wskutek tego nie mógł opłacić raty. Nietylko musiał opuszczać swój pałac, ale mimo to zabierano mu jeszcze ostatnią pierzynę. Wskutek tego większość domków stowarzyszeń budowlanych przeszła do przedstawicieli klasy średniej, jako to rentyerów, urzędników itp. Stowarzyszenia budowlane nowego typu wyzbyły się śmiesznego złudzenia wylęgiwania kamieniczników i poprzestają na zadaniu obdarzenia pracownika własnem mieszkaniem. Stowarzyszenie buduje domy i odnajmuje mieszkania swym członkom po cenie kosztu, przyczem nie ma prawa ani podnosić komornego, ani dowolnie wymawiać lokalu. Główna trudność polegała dotychczas na uzyskaniu potrzebnych kapitałów. Przeszkoda ta jednak zostanie prawdopodobnie przezwyciężoną, gdyż zarówno rząd, jak cały szereg instytucyj o charakterze społecznym (urzędy ubezpieczenia, kasy oszczędności itd.) wyraziły gotowość służenia hipotekami. Te domy stowarzyszeniowe otwierają nową drogę dla uspołecznienia życia ludzkiego. Przykład: Berlińskie stowarzyszenie budowlane wydaje własne pismo dla swych członków, posiada własny związek hurtowego zakupu węgli, własne stowarzyszenie śpiewackie, własną bibliotekę, organizuje zwiedzanie muzeów pod kierownictwem specyalistów, urządza własne przedstawienia teatralne, zabawy dziecinne itd.

A wreszcie obowiązkiem państwa jest popieranie w drodze ustawodawczej zaznaczonych wyżej dążeń zarówno zarządów miejskich, jak stowarzyszeń budowlanych i związków lokatorów.

Czyż to wszystko jednak razem wzięte— gotów ktoś zawołać — nie jest zaledwie kroplą w morzu! Zgadzam się. Ale — nie odrazu Kraków zbudowano, nie odrazu zburzono Troję.

H. Forszteter.



LIBERUM VETO.

Człowiek.

Pewnego dnia, przed kilkunastu laty, wszedł do mnie wysoki, chudy, siwy generał rosyjski. Wszedł on tym skromnie i łagodnie ujmującym ruchem człowieka wytwornego, który za progiem pozostawia przywileje swego stanowiska i odrazu chce uprzedzić, że nie ma nałogów zuchwalstwa.

— Jestem Starynkiewicz, prezydent miasta. Po polsku, niestety, nie mówię, ale rozumiem. Racz więc pan w rozmowie naszej używać swojego języka.

Wyjął z teki arkusze zapisanego papieru, broszury i książki.

Była to pora zaprowadzenia w Warszawie wodociągów i kanalizacyi. Olbrzymie to przedsięwzięcie wywołało w prasie i opinii liczne spory, a najdonośniej odezwał się krytyczny głos Blocha. Głównie zaś chodziło o to, że podczas gdy Starynkiewicz (z Lindleyem) bronili kanalizacyi spławnej, ze spustem do Wisły, Bloch występował przeciwko zanieczyszczaniu rzeki. Jego poświęcona temu przedmiotowi książka oraz liczne artykuły podważały zasadność projektu prezydenta i gnębiły go strasznie.

— Przychodzę usprawiedliwić przed panem nasz projekt wobec zarzutów p. Blocha...

— Przede mną? Ależ, panie prezydencie, ja na tę sprawę nie mogę mieć żadnego wpływu, gdyż ona leży po za granicami mojej wiedzy i myśli,

— Ja pana z nią łatwo zaznajomię.

I zaczął mi wykładać istotę rzeczy, różnicę dwóch systemów kanalizacyi oraz wyższość swojego. Przez cały czas tego wykładu powtarzałem sobie pytanie: ostatecznie czego on ode mnie chce?

— Na projekt Lindleya — rzekł wreszcie — zdecydowałem się po gruntownym namyśle i badaniu. Ale ponieważ uległ on gwałtownym atakom, więc pragnę go obronić przed wszystkimi ludźmi, którzy dbają o dobro miasta i oddziaływają na przekonania ogółu. Dlatego zwróciłem się również do pana. Mam *władzę* wprowadzenia mojego projektu kanalizacyi, ale to mi nie wystarcza, chcę nadto mieć *wiarę* ludzi rozumnych w słuszność mojego wyboru.

Wyznaję, że zarówno wówczas, jak dziś, nie umiałbym rozstrzygnąć, który z dwóch rodzajów kanalizacyi jest lepszy; zato wiem, że ten prezydent, w Warszawie, w tej epoce, był najdziwniejszym, jakiego wyobrazić sobie można. Już wogóle człowiek, który, posiadając władzę, odwołuje się ciągle do słuszności i nie chce użyć pierwszej, dopóki nie pozyska drugiej — jest rzadkim. Starynkiewicz mógł, nie zważając na Blochów i innych przeciwników zaprowadzić taką kanalizacyę, jaka mu się podobała. On tymczasem rozesłał jej projekt do wszystkich organów prasy, odpowiadał w niej na wszystkie zarzuty, nawet na potwarze, pisał, tłomaczył ustnie, usprawiedliwiał się przed każdym. Zdawało się, że gdyby usłyszał, że strażak na ra-

tuszu ma przeciwne zdanie, poszedłby na czatownię, ażeby go przekonać. Nie był zdolny posługiwać się władzą, jako siłą nadaną, samowolną i niezależną; w nim zamieniała się ona ciągle na etykę. Prawo przenosił on z dziedziny mechaniki państwowej w sferę działania moralnego. Gdy zaczęto sarkać, że draga, sprowadzona z Niemiec do pogłębiania dna Wisły, jest złą, pokrył jej koszt 15,000 rb. z własnych funduszów, które stanowiły cały jego majątek. Nie mógł znieść na sobie winy, chociaż był niewinnym. Z tego stanowiska gospodarował przez 16 lat w Warszawie, którą obdarzył wielkiemi i wartościowemi urządzeniami, jak kanalizacya i wodociągi, której dał cały szereg drobniejszych, ale bardzo cennych ulepszeń, którą tak szczerze i głęboko umiłował, że do ostatnich chwil życia zajmował się prywatnie jej sprawami, śledził troskliwie ich bieg, wyzyskiwał dla nich swoje stosunki i wpływy, a przedewszystkiem cierpiał nad niepowodzeniami. Jego pracownia była do końca gabinetem prezydenta bez urzędu, jego rozmowa ciągle rozwijała się z tego kłębka.

Rozumie się, nawet duże bogactwo przyrodzone instynktów dobrych nie wystarczyłoby do stworzenia charakteru tej miary i musiało w tej duszy zapalić się jeszcze inne światło, które rzuca dalekie promienie i otwiera jej rozległy widnokrąg. Rzeczywiście Starynkiewicz był filozofem.

I znowu pewnego dnia—przed kilku laty—wszedł on do mnie, jak zwykle cichy, łagodny, podobny do jasnego cienia, który przesuwa się po ziemi samotny, chociaż życzliwy. Przyniósł mi swój przekład G. Hirna: *Analyse élémentaire de l'univers* z prośbą o uwagi nad tem dziełem i jego przedmową. Ludzie z rodzaju Starynkiewicza wynajdują sobie zawsze jakiegoś myśliciela, który jest ich mistrzem, jakąś książkę, która stanowi dla nich filozoficzną ewangelię. Zwykle zaś ten myśliciel nie należy do słońc, a ta książka — do słupów ognistych. Jest to zrozumiałem, gdyż spokojny, łaknący równowagi umysł takich ludzi nie znosi w sobie pierwiastków burzy i dokuczliwego wątpienia, dusi się w rozrzedzonem powietrzu szczytów i doznaje zawrotu nad przepaściami wiedzy. Kochając ludzi, jest podobnym do ich ogółu, nie może zbyt daleko odsunąć się od powszechnych wierzeń i przekonań, pragnie tylko napoić się najidealniejszą ich destylacyą. O Hirnie może żaden z moich czytelników nie słyszał, podręczniki historyi filozofii wcale o nim nie wspominają. Był to kosmolog z podkładem deistyczno-dualistycznym. W wywodach swoich jest bardzo jasnym, logicznym, w rozstrzyganiu najtrudniejszych zagadek nigdy zakłopotanym. Życie ludzkie wyprowadza on z rozumnego i niezłomnego porządku wszechświata, usuwa zeń troski, wątpliwości i rozdźwięki, daje mu przejrzystość, celowość i uspokojenie — a wszystko umie oprzeć na rachunku i prawach matematycznych! Taka książka musiała podobać się Starynkiewiczowi.

Wierząc w Boga, rozumnego i dobrego stwórcę, uważając życie człowieka, a więc i swoje za drobny objaw wielkiego ładu i planu w naturze, oczekiwał śmierci z dziwnym, szczerym spokojem, a nawet z upragnieniem. Chory, zadyszany, ledwie mogący przejść kilka schodów, odwiedzał mnie jeszcze w ostatnich miesiącach.

— Starość — mówił raz — która zawsze dogasa w niespełnionych nadziejach i przykrych wspomnieniach, jest bardzo bolesną dla tych, którzy myślą o sobie. Nie mogę całkiem wyzbyć się tej słabości, ale usiłuję ją pokonać. Człowiek, który uczynił interes własny osią swego życia, musi być nieszczęśliwym męczennikiem. Ten egoistyczny ruch duszy stanowi główne źródło naszych cierpień. Ja już ich prawie nie doznaję. Grób nie będzie dla mnie miejscem zagłady, lecz odpoczynkiem, do którego oddawna tęsknię, bo jestem bardzo zmęczony, nie znojem życia, ale ubytkiem sił. Byłoby mi bardzo miło usłyszeć w trumnie, że ktoś mnie żałuje, ale nie chciałbym, ażeby mniemano, że ja żałuję sam siebie. Skończyłem pracę zadaną mi przez Opatrzność, oddaję materyi moje ciało, a Duchowi moją duszę.

Wierzę, że w takim nastroju umarł. Był to niewątpliwie człowiek w najlepszem znaczeniu tego wyrazu.

Był to człowiek bardzo czysty, do którego złe pokusy nawet nie śmiały się zbliżyć.

Był to człowiek niemający w swych dążnościach najmniejszego drgnienia ku ideałowi Nietzschego — „herrwerden.“

Był to człowiek, który nie popełniał najpowszedniejszych grzechów — politycznych.

Nigdy nikogo nie ukrzywdził, a wiele zrobił dobrego; sądzę, że za to powinniśmy jego pamięci spłacić dług szacunku i wdzięczności.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Czy potrzeba nam filozofii?

(Słówko o psychologii narodowej).

Jeżeli wolno z charakteru szczytów wnosić o jakości sił w tych pokładach, z których owe wierzchołki wygórowały, innemi słowy, jeżeli wolno z duchowych cech wielkich ludzi sądzić o usposobieniu narodowych mas, z których owi wielcy ludzie wyszli, — a do tej metody badania w psychologii społecznej uciekamy się czysto w braku innej, którą dopiero nowożytna nauka socyologii mozolnie wypracownje — to uzyskamy prawo przypisania narodowej polskiej duszy temperamentu mocno uczuciowego, niezmiernie żywej imaginacyi i znacznej głębi religijnej. Rozumie się, stopień tych własności na poziomie szarych, zwyczajnych, przeciętnych jednostek ilościowo w każdej z nich różnić się będzie niezmiernie od tego, co znajdujemy na szczytach, gdzie moc tych samych przymiotów i usposobień wznosie się do płomiennej namiętności Mickiewiczowskiego „Konrada,“ jaskrawej obrazowości „Króla-Ducha“ Słowackiego, religijnych natchnień z mistycznem zabarwieniem „Glossy Św. Teresy“ Krasińskiego, ale jakość będzie niemal ta sama w tej mierze, w której nie zdaje się zmieniać jej samo ilościowe natężenie stopnia. Podobieństwo zwłaszcza uwyraźni się, gdy badać będziemy środkujące pagórki, ludzi talentu, unoszących się po nad poziomem zwyczajności, a nie dorastających do tamtych szczytów, lub przedstawicieli poezyi dzisiejszej, w których nurtują porywy uczuć głębokich, którym jawią się w wyobraźni piękne artystyczne wizye, którym nawet przez obłok zwątpień bolesnych — ukazuje swoje oblicze pożądana przez nich prosta i szczera, mocna i naiwna wiara. Wprawdzie tu, w nowem pokoleniu, następuje pewne załamanie się i przerwanie dawnej linii usposobienia: — naprzeciw dawnemu gorącemu i wszystko-ogarniającemu uczuciu występuje pewne oziębienie, zasklepiającego się w swych egoistyczno-smutnych ekstazach „ja,“ wielobarwna i wielokształtna obrazowość przetapia się powoli na ideowe obstrukcye, a dawna wiara kołysze się w sceptycznych wstrząśnieniach; lecz wszystko to stanowi jeszcze formujący się i dla wielu niepostrzegalny rys, który daleki jest od punktu ostatecznego swego rozwoju, nie zyskał uświadamiającej go jasności, ani nie wyrył się dosyć głęboko na zmieniającem się duchowem obliczu narodu. Jest w tej nowej modernistycznej poezyi jakieś podążanie ku filozofii — ale tej ostatniej naprawdę jeszcze niema. Szukają jej jak gdyby po omacku...

Badając uważnie te duchowe szczyty, które wyniosły się śród nas, a przenosząc wnioski tego badania na całą masę narodową, musimy wyznać, że umysłowi polskiemu brakło w stopniu dostatecznego natężenia dwóch cech: naukowości i filozoficzności — umiejętności mozolnego śledzenia objawów natury i ducha metodą ścisłą, umiejętności zaciekania się w najgłębsze tajniki bytu natury i ducha śmiałem i spekulacyjnem zaogólnieniem. Stąd szczupła ilość wybitnych uczonych, stąd brak pośród nas głębokich myślicieli. Materyał pokładu nie posiadał w sobie dosyć mocy, aby wygórować znacznie w tych dwóch kierunkach.

Z nauką zaczynamy się porać jako tako. Zawdzięczamy to okresowi pozytywizmu, tak mało ocenianemu jeszcze, tak chętnie oświetlonemu dzisiaj od strony braków, które mogły i musiały być na progu nowego prądu w dużej ilości, a przecie przyszłość przyzna z pewnością, że właśnie ów prąd usunął stary grzech naszej ciemnoty, że odświeżył nas powiewami szczerej nauki. Nawet w tych gazeciarskich konserwatywnych świątyniach, gdzie pozytywizmem brzydzą się i wyklinają go, jako chorobę ducha narodowego, („na szczęście prawie minioną!“), świta nowożytna myśl: Darwin nie jest malowany w postaci dyabła na ścianie, obok skandalów, przepisów gospodarskich, pobożnych westchnień i polemicznych szturchańców notowane są dość skrzętnie współczesne odkrycia i nowoczesne teorye naukowe. Konserwatywne gazety — jak słusznie zauważył Świętochowski — ubrały się w postępowe piórka. Sprawił to ten buńczuczny, bezbożny pozytywizm, który „nic nie tworzył, a wszystko burzył.“

Lecz z filozofią nie zawarliśmy jeszcze związków bliższych. Na straszliwe, tajemnicze pytania: „skąd idziemy? czem jesteśmy, dokąd dążymy? czem jest wszechświat?“ — nie szukamy odpowiedzi. Brzydzimy się temi pytaniami, mniemając, że odpowiada na nie dostatecznie życie praktyczne, albo artykuł polityczny, czasami podręcznik fizyki, a nadewszystko — katechizm.

Sprawiedliwość wyznać każe, że jesteśmy jednym z najmniej filozoficznych narodów cywilizowanych. Może nie mieliśmy do filozofii czasu, zmuszeni oddać się porywającym, jak wicher, ważnym zadaniom życia dziejowego — wszakże filozofowanie wymaga nieco spokoju i kontemplacyi — więc mimowoli przetapialiśmy wszystkie soki mózgu i całą krew serdeczną na politykę, raczej marząc lub działając, cierpiąc lub unosząc się, niż myśląc. W epoce, gdy Hegel był mistrzem, szliśmy wprawdzie do podnóża jego katedry i wracając, tworzyliśmy trójki: „tezy, antytezy i syntezy“ — na własną rękę, oraz w osobie Trentowskiego kuliśmy dziwolągi terminów filozoficznych. Lecz był to tylko pokost naśladownictwa nieprzetrawionej krytycznie obcej myśli i czas go rychło zeskrobał. Znalazła się potem mała garstka ludzi, która szła śladami filozofii pozytywnej Comte'a, ale po za wyjątkami nader nielicznymi przefastrygowała tę filozofię, obcięła ją i przykroiła kurs nieco po swojsku, nie zdążywszy nawet przyswoić językowi naszemu dzieł swego mistrza. Zasługa Świętochowskiego i Jezierskiego, dających nam znakomity przekład „Historyi mate-

ryalizmu“ Langego, upadła niby w głuchą próżnię. Przez krótki czas garstka z nas przysięgała na Spencera i ten, dzięki przekładowi nieocenionego dotąd, jak należy, Potockiego, zdawał się głębiej wchodzić w krew naszą, lecz pokłóciliśmy się z nim nieco za szybko na gruncie pytania: „czy społeczeństwo jest organicznem?“ i rozgniewani na jego rzekomą burżuazyjność, zapomnieliśmy o jego istotnych zasługach. Zaledwie na glebie poruszonej przez metodę materyalistyczną, którą za najowocniejszą *metodę badania* w naukach przyrodniczych uznawał nawet metafizyk Kant, urodziły się u nas owoce wiedzy i — pojawiła się ścisłość w myśleniu, której ongi nam brakło — już pod wpływem prądów, wiejących z Zachodu, rozległy się u nas uciesznie oklaski z powodu „bankructwa materyalizmu.“ Domowe puszczyki ani nie oceniły tego kierunku, jako metody naukowej, ani nie zrozumiały, że „szczęśliwe“ uniknięcie „zdrożnej“ gorączki materyalistycznej, która „zatruła tylko dusze niewielu jednostek,“ nie pozwoli ogółowi głębiej odczuć, świadomiej przyjąć zjawiającej się antytezy tamtego prądu w neo-kantyzmie. Klaszczący mniemali, że tylko nawróceni grzesznicy materyalizmu przyszli dzwonić w ich starym kościele, że czas nowy ogłosił poprostu powrotną pielgrzymkę do zapoznanej na chwilę starej mądrości, że niczego tedy uczyć się nie potrzeba, bo wszystko wiedziało się dawniej.

I oto nadeszła jakaś powrotna fala, w której obok brzegiem idących przejawów głębszej myśli — niezmiernie rzadkich i jak rzekliśmy, chwytanych po omacku — rozigrała się w pełni właściwa nam niefilozoficzność. Jest to tem dziwniejsze, że młode pokolenie już zdawna nie mówiło tyle o „absolutach,“ co dziś. Wyraz ten stał się czemś ulubionem, choć — o ironio!— jak na złość używany jest do określenia rzeczy najwzględniejszy, objawów specyficznych, nawet barwnych obrazków natury w jakimś cudackim sonecie. Ba! nawet krytyka jęła rozprawiać o „Klepaniu absolutów po ramieniu.“ Czytając jednego Nietschego raczej poetę, niż filozofa, człowieka o najniesystematyczniejszym umyśle, którego dzieła roją się sprzecznościami, młode pokolenie poetów wyobraziło sobie, że zjadło całą filozofię.

(D. n.).

Leo Belmont.

NOTATKI NAUKOWE.

— Dr. Henryk Jakubowicz: *Kobieta nerwowa* (według dzieła dr. Alberta Molla). Warszawa, nakład księgarni A. G. Dubowskiego, 1902, 8-o, str. 136.

Obrawszy sobie za punkt wyjścia niemiecką pracę dr. Molla, p. Jakubowicz, autor drukowanego przed czterema laty szkicu popularnego p. t.: „Dlaczego chorują nasze kobiety?,“ zebrał wszystko, co można było powiedzieć w formie przystępnej o nerwowości kobiety współczesnej. Autor nie trzyma się niewolniczo pierwowzoru, opuszcza to, co uważa za mniej pożyteczne, rozszerza zaś i dopełnia te działy, które uważa za szczególnie ważne dla swoich czytelniczek. W ścisłe wywody naukowe p. Jakubowicz nie wchodzi, z anatomii fizyologii, psychologii podaje tylko najogólniejsze zasady, niezbędne do zrozumienia dalszych wniosków. Wogóle pisze popularnie i może być zrozumiany przez osoby, nawet najmniej naukowo przygotowane. Sądzimy, że praca jego może być odczytana z pożytkiem, zwłaszcza, że newroza wśród kobiet współczesnych szerzy się coraz gwałtowniej. Oczywiście książka p. Jakubowicza nie zastąpi lekarza-psychiatry, lecz przyczyni się do rozpowszechnienia pewnych zasad hygieny systemu nerwowego.

g.



LITERATURA NIEMIECKA.

Wiedeńczycy *).

Herman Bahr, generalny agent wiedeńskiego towaru literackiego oburzył się mocno, kiedy północno-niemiecka, urzędowa krytyka literacka niezbyt wierzyć chciała w roztrąbywane przez niego zalety pisarzy, grupujących się około swego mistrza i odkrywcy. „Życzę sobie — pisał — aby do nas ostro się zabierano, ale też nas poważnie traktowano.“

Bahr miał racyę. Poważnie oczywiście traktować się powinno stworzoną przezeń szkołę wiedeńską — „das junge Wien“ — kwestya tylko, czy ją jako przejaw jednostkowy w całokształcie współczesnej literatury wysoko przyjdzie postawić.

Literatura wiedeńska ma charakter lokalny, jest jedyną w swoim rodzaju. Wobec literatury północno-niemieckiej, hamburskiej, nadreńskiej, berlińskiej, reprezentującej — że tak powiem — żywioł ciężkiej, duszę tłoczącej powagi, staje charakterystyczna w swej lekkości i powiewności literatura południowo-niemiecka. Wiedeń produkuje literaturę lekką, tworzywo jego daje wyraz temu, co trafnie przezwano: *das im Barocksinne Galanteske.* A właśnie wskutek tego rysu charakterystycznego jest literatura wiedeńska z jednej strony tak wyodrębnioną w całokształcie współczesnego życia umysłowego, a z drugiej strony wskutek lokalnego swego znaczenia i zakroju — mało twórcza. Nie wpływa bowiem wcale, lub co najwyżej bardzo nieznacznie, na ewolucyę twórczości europejskiej, nie dotyka tej nabrzmiałej różnorodnością zjawisk i prądów arteryi. Wiedeńska szkoła literacka mogłaby być lub nie być — linia ewolucyjna literatury światowej zachowałaby ten sam bieg, ani o cal nie zstąpiłaby z drogi.

Spójrzmy — powiada syntetyk prądów we współczesnej literaturze niemieckiej, Artur Moeller-Bruck — jak się rozwinał styl północno-niemiecki od chwili, kiedy go uprawiać poczęli Nietzsche, Liliencron, Conradi, Hauptmann, Dehmel, Stefan George, przypatrzmy się tym dziwacznym błyskawicowym zjawiskom, jak Przybyszewski, Scheerbart, Wedekind, Mombert: oto fizyognomie różne, a przecież zespolone wspólnym rysem, znajdującym oddźwięk w duszy pokolenia współczesnego; wgłębiając się w ich twórczość, zyskujemy przeświadczenie, że i za pięćdziesiąt lat będą postaciami żywemi, a wobec kilku mamy nawet pewność, że wcale nie znikną z pamięci ludzkości.

A w Wiedniu? Tu zastraszający brak indywidualności, pustka przeraźliwa.

Tyle Moeller-Bruck.

Najjaskrawiej przejawia się wartość danej epoki lub kamaryli literackiej, jeżeli się ją ogląda pod kątem widzenia dość osobliwym: jeżeli się kontroluje jej zwyradnianie, przeradzanie się. Wówczas łatwo się uzewnętrzniają i to w nader jaskrawej formie te pierwiastki, które za czasów pełni i rozkwitu twórczego danej epoki stanowiły jej znamię zasadnicze.

Obierzmy i w tym wypadku podobne kryteryum. Literatura północno-niemiecka, wyradzając się w poszczególnych swych członkach, dochodzi do neurastenii. A jak wyrodnieją „Wiedeńczycy“? Stają się sentymentalnymi i histerycznymi, płaczliwymi i kapryśnymi. Ta zniewieściałość — to najzawziętszy wróg literatury wiedeńskiej. Rozpływa się w niej wszelka tężyzna, rozmach twórczy. Hofmannsthal, Schnitzler, Altenberg i inni stają się wskutek tego etykietalnymi, fragmentowymi, sentymentalnymi.

Wszyscy—tylko nie sam prowodyr: Hermann Bahr. To najdziwniejsze. Twórca szkoły, jej przedmurze, powinien przecież być wcieleniem wszystkich tych pierwiastków i cech, które się na szkołę składają. A on właśnie jest wyjątkiem. Sam wszczepił w swych uczniów jad, nie zaraziwszy się nim zupełnie. Nie jest ani sentymentalny, ani histeryczny. Przyczyna tego leży jak na dłoni: Bahr mimo kilkunastu tomów dotychczas wydanych, mimo kilku dramatów, komedyj, powieści, nowel jest mało twórczym. Jest rozsądnym bardzo i sprytnym propagatorem — agentem sam się nazwał, — ale nie twórcą. Dopomaga innym do przejawiania na światło dzienne tych wewnętrznych stanów, któreby, bez jego współudziału, nigdy nie były przefermentowały i dojrzały na tyle, by znaleźć zewnętrzny wyraz i formę.

Z rzeszy pisarzy wiedeńskich obieram dwóch, Hugona Hofmannsthala i Piotra Altenberga i na nich wykażę wady i zalety „Wiedeńczyków.“

Jeżeli się zbliżamy do poezyi Hofmannsthala i staramy wytworzyć sam obraz jego indywidualności, uderza nas przedewszystkiem zdrowie i życie, jakie się tu przejawia. Oczywiście nie jest to owo tętniące, rozkipione życie, lecz takie, po którem spodziewać się można, że zapanuje nad wymogami bytu i nimi kierować potrafi.

Lecz pod tem wrażeniem zostajemy czas krótki. W miarę przenikania istoty twórczości Hofmannsthala dochodzimy do mniej przyjemnej pewności: oto czar zdrowia i życia, jaki nas ujął z początku dla poety, znikł, a jego miejsce zajęła świadomość, że mamy do czynienia z rutynowanym wirtuozem, u którego na pierwszy plan skomplikowanego aktu twórczości nie wybija się jej wewnętrzna, myślowa strona, jeno formalne jej wcielenie. A dalej: że to formalne wykończenie jest tego rodzaju, że nie na długo wystarczyć może do utrzymania czytelnika na poziomie zainteresowania. Po dłuższej lub krótszej chwili podziwu dla strony technicznej dzieła, nastąpić musi oziębienie wobec maniery, szarzyzny i braku treści danego utworu. A wreszcie u Hofmannsthala nie wyczuwamy jednostki rozwijającej się współcześnie i ulegającej prawdziwym a niepozornym zmianom, jeno osobnika opartego całą swą duszą i umysłem o gotowe już typy, o ideał człowieka szekspirowskiego i goethowskiego. Wskutek tego braku czynników ewolucyjnych w twórczości Hofmannsthala, niema też u niego poczucia głębi, powagi wobec przedmiotu swych badań, jest — jak to niemiecki zwrot powiada — *geistreichelnd oberflächlich* (genialnie powierzchowny), a nie widać tego uszanowania przed przejawem duszy, jakie cechuje prawdziwego twórcę.

W działalności Hofmannsthala jako dramaturga jeszcze silniej uwidacznia się ten fatalizm jego artystycznej budowy. Stając wobec wielkiego, ram szerokich wymagającego tematu, wykończa go jedynie pod względem formalnym, nie przeprowadzając równocześnie wewnętrznego procesu twórczego, tak iż temat ów, niby domek z kart, kruszeje pod jego dłonią, filigranuje się, rozpada.

A dzieje się to nietylko z samym tematem, jako całością. Poszczególnym jeg

*) Arthur Moeller-Bruck: *Die moderne Literatur.* Tom I: „Das Junge Wien.“ 1902.

składnikom grozi ten sam zanik. Wszystkie są jednakowo nastrojone, wszystkie jednowartościowe, wszystkie bierne. Weźmy np. poszczególne osoby z dramatów Hofmannsthala Wszędzie ten typ bezkrwisty, człowiek „z białem ciałem i białą duszą.“ Czy to ludzie jednego z pierwszych jego dramatów „Wczoraj,“ czy bohater „Głupca i śmierci,“ czy szaleńcy w fragmencie „Z teatru maryonetek,“ czy wreszcie Madonna w dramacie „Kobieta w oknie“--wciąż jeden i ten sam człowiek, pozbawiony przez poetę kręgosłupa, możności rozwoju, życia.

Wobec tego stanu rzeczy pytam: czy jest możliwem, aby poeta, niezdolny wzbogacić siebie samego przez kształcenie swej jaźni, a tem samem przez rozszerzenie zakreślonego widnokręgu, był w stanie rozwijać się coraz bardziej — czy jest możliwem, aby taka jednostka posiadała zdolność nadania tematowi uzewnętrznienia pełnego i wykończonego? Hugo Hofmannsthal potrafi stworzyć poemat, scenę, lecz na akt cały — nie mówiąc już wcale o kilku aktach w sztukę powiązanych — tchu mu nie starczy.

Hofmannsthal jest fragmentowym, a przecież dość już tych okruchów. Dążymy do wcielenia w ramy twórczości pełni, całokształtu życia. Dlatego jest rozdźwięk między utworem Hofmannsthala a duchem czasu, a współczesnością — dlatego w ostatecznej konsekwencyi Hofmannsthal usunąć cię musi w mrok.

„P. A.“ — to Piotr Altenberg. Kiedy wprowadzić chce siebie samego w stosunek do tematu, który omawia, używa na oznaczenie swej osobowości zawsze skrócenia: P. A. Powiada, że to jest „die Visitenkarte seiner Seele“ (karta wizytowa jego duszy). A sam używa „einen Telegrammstil der Seele.“ Najistotniejszą cechą Piotra Altenberga jest to, iż całą swą dążność skierowuje nie do rozszerzenia i uogólnienia ram danego tematu, jeno do jak najsilniejszego skupienia. Dusza Piotra Altenberga wyraża się rzeczywiście w formie depeszowej, czasem nawet depeszy cyfrowanej. Z jej czeluści wybija się tylko pojęcie najpotrzebniejsze i najmocniejsze i to tylko jest uwidocznione na papierze, resztę musi sobie czytelnik dopowiedzieć, musi przeczuć tam owo jądro, które poeta daje, omotać. Charakterystyczny w swoim rodzaju jest sposób, w jaki Piotr Altenberg wywołuje wrażenie. Stworzył sobie manierę napół impresyonistyczną, napół japonizującą, specyalny kąt, z którego podgląda najdelikatniejsze nitki, wiążące go z ludźmi i ludzi nawzajem. Węzły, sznury, okowy, dla niego nie istnieją. Tylko te delikatne, prawie niewidzialne nici... Kilka takich, przesubtelnych szczegółów wystarcza, by wywołać szereg asocyacyj, przedziwny i niezwykły konflikt, ba, umożliwić powstanie setnych i tysiącznych powiązań, mniej lub więcej tragicznych wstrząśnień.

A wszystko to w gruncie rzeczy jest syntezą drobin.

Hugo Hofmannsthal i Piotr Altenberg są prawie jedynymi „Wiedeńczykami,“ występującymi z tła ogólnego, wykazującymi odrębną, krytyce indywidualnej podatną fizyognomię. Inni są pionkami.

Bertold Merwin.

Henryk Siemiradzki.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Gazety sobotnie z ubiegłego tygodnia przyniosły społeczeństwu polskiemu wiadomość, że Henryk Siemiradzki nie żyje... Nie dobiegłszy nawet lat sześćdziesięciu, w pełni rozwoju wielkiego talentu, w pełni młodzieńczego zapału do pracy twórczej, z promiennemi wizyami dzieł nowych przed oczyma wyobraźni, w nocy z 22 na 23 sierpnia zamknął na zawsze powieki w Strzałkowie pod Nowo-Radomskiem jeden z najznakomitszych i najzasłużeńszych przedstawicieli sztuki polskiej, którego imię zapisało się na zawsze w jej Panteonie obok nazwisk Matejki, Brandta, Grotgera, Chełmońskiego... Nieuleczalna choroba raka, trawiąca od lat paru organizm mistrza pędzla, zmogła go wreszcie doszczętnie, a zaborczego i niszczącego jej pochodu nie zdołały powstrzymać ani starania lekarzy, ani tchnienie wsi rodzinnej, gdzie twórca tylu dzieł, osnutych na motywach klasycznych, szukał od kilku tygodni ulgi w cierpieniach i znalazł — ukojenie zupełne.

Zanim nasz sprawozdawca artystyczny scharakteryzuje obszerniej znaną szerokiemu ogółowi i wysoce przezeń cenioną twórczość Henryka Siemiradzkiego, pragniemy tu tylko tymczasem przypomnieć parę momentów pełnego zasług i pracy życia. Twórca „Pochodni Nerona,“ „Tańca wśród mieczów,“ „Fryny w Eleuzis,“ „Śmierci chrześcianki w cyrku Nerona,“ „Fryderyka Chopina w salonie ks. Radziwiłła,“ „Skały Tyberyusza w Capri,“ „Apoteozy Kopernika,“ wspaniałych kurtyn teatralnych dla Krakowa i Lwowa i długiego szeregu większych i mniejszych obrazów, odtwarzających przeważnie sceny z życia dawnych Greków i Rzymian, urodził się w r. 1843 w gub. Charkowskiej, gdzie jego ojciec, pochodzący z Sandomierskiego, przebywał czasowo, związany sprawami służby wojskowej. W domu rodziców Henryka zbierali się często ludzie poważni i wykształceni, profesorowie uniwersytetu charkowskiego, w których liczbie byli wówczas między innymi takie jednostki, jak Aleksander Mickiewicz (brat Adama), Józef Korzeniowski Alfons Walicki, Oskar Stanisławski i inni. Twórczości malarskiej zmarły artysta oddał się w sposób niepodzielny stosunkowo późno, ukończywszy przedtem gimnazyum w Charkowie oraz wydział przyrodniczy uniwersytetu miejscowego. Pobyt jego w petersburskiej Akademi sztuk pięknych był jednym szeregiem tryumfów i zaznaczony został dwoma złotymi i pięcioma srebrnymi medalami. Wyjechawszy, zrazu jako stypendysta Akademii, za granicę, pracował dalej z zapałem w Monachium, a głównie w Rzymie, gdzie w r. 1872 osiadł na stałe. Tu jeden za drugim powstawać zaczęły obrazy, które wkrótce zjednały Siemiradzkiemu sławę i uznanie zarówno w świecie artystycznym, jak w najszerszych kołach wrażliwego na piękno ogółu.

Rozmiłowany w życiu Greków i Rzymian, niezrównany mistrz krajobrazu klasycznego, południowego nieba i morza, marmurów, cyprysów i pięknych form ciała ludzkiego, Siemiradzki był nietylko artystą, ale i obywatelem, i umiał zaznaczać tę duchową łączność ze swoimi w sposób prawdziwie wymowny, że wspomnimy chociażby o złożeniu przezeń (podczas jubileuszu Kraszewskiego) „Pochodni Nerona“ w darze krajowi, w celu zawieszenia ich w Sukiennicach krakowskich, gdzie dotąd stanowią one jedną z istotnych ozdób Muzeum Narodowego. Do kraju przyjeżdżał często, a w ostatnich czasach spędzał stale lato w majątku swym pod Nowo-Radomskiem, gdzie właśnie śmierć-ukoicielka złożyła na jego ozdobionem wawrzynami czole pocałunek ostatni. Lecz dla malarstwa polskiego, dla sztuki wogóle, Siemiradzki żyje w dalszym ciągu i nigdy żyć nie przestanie.

Wł. B.

O prawdę.

W obronie sztuki.

Z pewnem zdumieniem przeczytałem gorzkie i pesymistycznie uwagi o sztuce współczesnej, na jakie szanownego Posła Prawdy naprowadziła Wystawa Wiosenna młodych artystów polskich i które dały pochop do „Liberum Veto“ w 26 numerze *Prawdy*. Wystawy samej nie widziałem i, choć nabrałem o niej wyobrażenia z katalogu ilustrowanego — niezbyt co prawda fortunnego — i ocen krytycznych w czasopismach, oczywiście w obronie jej stać nie mogę. Ale szanowny Poseł Prawdy wywody swe rozszerzył i uogólnił na całą sztukę współczesną, lub przynajmniej na tak zwany modernistyczny jej odłam, czuję się więc w prawie zabrania głosu w tej sprawie. Nie kusiłbym się o to, gdyby, chodziło o wyłącznie estetyczny pogląd na sztukę, polemika bowiem w takich razach po większej części jałową bywa. W żadnej dziedzinie krytyka z natury rzeczy nie jest tak subjektywną, jak w sferze sztuki. Niepodobna dowieść, że dane dzieło jest piękne lub brzydkie, jeśli ono nie oddziaływa w odpowiedni sposób na naszą wyobraźnię, lub nasze uczucie. Słusznie też, osobiście każdy człowiek swoje gusta i upodobania uważać może za najważniejszy probierz. Naturalnie inaczej się rzecz przedstawia, gdy twórczość artystyczną z punktu widzenia społeczno-psychologicznego rozpatrywać będziemy. Tutaj chyba wrażenia tylko osobiste dla wydawania sądów ogólnych wystarczyć nie mogą i najbardziej świetny wykład poglądu bez znacznej liczby poważnych dowodów i charakterystycznych przykładów na siłę przekonywającą liczyć nie może. Czy myśli wypowiedziane we wspomnianem „Liberum veto“ o histeryi sztuki siłę taką posiadają?

Szanowny Poseł Prawdy wychodzi ze słusznego założenia, że wyobraźnia ludzka i twórczość artystyczna zależne są od warunków i natury życia ogólnego. Wszystkie prawie teorye estetycznie zależność tę uznają i tylko różnią się co do mniejszego lub większego jej stopnia. Epoka nasza, którą pono charakteryzuje „straszne zdenerwowanie, rozstrój umysłowy, przewlekłe cierpienia duszy, zamiłowanie w podnietach ostrych“ itd., naturalnie i artystom pewną dozę tych cech udzielać musi, a one w dziełach sztuki w jakikolwiek sposób później się odzwierciadlają. Szanowny Poseł Prawdy właśnie utrzymuje, że wskutek tych znamion chorobliwych, jakie we wszyskich prawie społeczeństwach tegoczesnych się objawiały, większość artystów naszej doby stroni od pełnego słońca, pięknych, harmonijnych kształtów oraz objawów siły i zdrowia, a w zamian umiłowała formy brzydkie, koszlawe, dysharmonię barw, mglistość i wyczerpanie. Niestety jednak, szanowny autor nie zadał sobie trudu przytoczenia choć kilku przykładów dla potwierdzenia swych wywodów.

Wystawa w Salonie Krywulta, nawet jeśli się na jej ocenę tak wielce surową zgodzić, zadania tego spełnić nie może. Najpierw bowiem sztuka nasza zbyt młoda, zbyt uboga, za mało posiada tradycyi i zbyt małą w życiu naszem odgrywa rolę, by za podstawę do szerokich uogólnień służyć mogła, a powtóre ona tylko pewien odłam jej przedstawia i to bynajmniej nie najświetniejszy, nawet w kierunku modernistycznym. Zresztą, czy rzeczywiście, jak mniema szanowny Poseł Prawdy, organizatorzy mieli zamiar nadania wystawie charakteru potężnego i wymownego protestu przeciw starym prądom? Wydaje się to wątpliwem; przynajmniej, z nazwiska sądząc, trudno dopatrzyć się wspólnego programu nowatorskiego, jednoczącego tę grupę artystów. Zwróćmy się więc do sztuki Europy zachodniej, zwróćmy się do malarzy, rzeźbiarzy i rysowników, tworzących jądro wszelkich wystaw secesyjnych, których znaczna część artystów i ludzi estetycznie wykształconych za najwybitniejszych przedstawicieli twórczości arty-

stycznej naszej doby uznaje. Przyglądajmy się tym obrazom, rzeźbom i rysunkom, za pokaźne bardzo sumy do galeryi sztuki współczesnej zakupywanych i umieszczanych w salonach honorowych wystaw modernistycznych, i szukajmy w nich potwierdzenia owego braku energii, kultu, brzydoty i zwyrodnienia, tak pono dla nich znamiennego.

Naturalnie mowa będzie tylko o artystach pierwszorzędnych, wybitnie oryginalnych, nadających swej epoce piętno charakterystyczne i kierunek dalszemu rozwojowi danej gałęzi sztuki, przyczem dla większej ścisłości będę przytaczał jedynie nazwiska, które mniej więcej dopiero podczas ostatnich dwóch dziesięcioleci rozgłos uzyskały.

W myśli rozpoczynam wędrówkę po nieskończonym szeregu sal wystawowych Société Nationale w Paryżu, Secesyi w Monachium, Wiedniu i Berlinie i zaglądam do galeryi Luksemburgu, Nowej Pinakoteki, National Galerie itd. Przed oczyma powstaje przedługi sznur malowideł i skojarzonych z niemi imion. Zjawiają się Francuzi: więc tryskające werwą portrety i studya, oraz olśniewające jarmarki końskie A. Besnarda, skupione i potężne obrazy z życia bretońskiego Cotteta, pełne ruchu i życia sceny cyrkowe i procesye L. Simona, czarujące nastroje wieczorne R. Ménarda, słoneczne wizye H. Martina i symfonie barwne G. Latouche'a; dalej się ciągną wspaniałe ogromnym spokojem krajobrazy alpejskie Włocha Segantiniego, charakterystyczne i silne płótna Hiszpana Zuloagi, surowe ilustracye epiczne Finlandczyka Gallena, nawskróś malarskie utwory Amerykanina Whistlera i bardziej powierzchowne, lecz niemniej świetne portrety jego ziomka Sargenta, wybitne swym temperamentem alegorye Bawarczyka Stucka, przepyszne, niby makaty wschodnie, dekoracyjne malowidła Anglika Brangwyna, mistrzowskie sceny rodzajowe Szweda Zorvia itd. Przypominam sobie jeszcze kilkanaście nazwisk, które na myśl przychodzą, gdy o nowej sztuce mowa i... napróżno szukam w nich owego wyczerpania, upadku, braku energii, histeryi. Oczywiście różne mogą być zdania o mniejszej lub większej wartości artystycznej pojedynczych dzieł, ale z całości bije taka tężyzna, taka porywająca siła temperamentu, tyle zdrowej twórczości, lub co najmniej taki wykwint formy i barwy, tyle pięknej harmonii, że na samo wspomnienie serce w prędszem uderza tempie. A nawet tam, gdzie w istocie góruje pewne chorobliwe przeczulenie, brak męskiej siły, jak np. u Aman-Jean'a lub Belgijczyka Khnopffa, czyż można mówić o kulcie brzydoty, o zwyrodnieniu. Czy te wydelikacone kształty i kolory nie posiadają uroku starych kultur estetycznych, czyż nie czarują swoim kobiecym wdziękiem, czyż nie stanowią piękna? A zresztą, czy ta urocza chorobliwość, która w każdym razie tylko jest wyjątkiem, koniecznie musi być skutkiem choroby wieku? Czyż często nie jest poprostu fizycznie uwarunkowana chorobą danego artysty i czy takie typy nie istniały we wszystkich epokach? Dość wspomnieć tylko o Botticellim. Aubrey Beardsley, którego często jako przykład typowego „dekadenta“ wieku XIX przytaczają, umarł w 27 roku od suchot płucnych, o czem może nie wszyscy wiedzą.

Jeśli od malarstwa do rzeźby współczesnej przejdziemy, to właśnie pewna gwałtowność i namiętność kształtów oraz ruchów odrazu w oczy się rzuci i od plastyki poprzedniego pokolenia ją wyróżni. Nie będę wcale potrącał o artystyczną wartość dzieł takiego Bodina, Meuniera, Jefa Lambeaux, naszego Biegasa lub innych, ale czyż nie nadmiar energii, o silnym świadczący temperamencie, z nich się wyłonił? Można posąg Balzaca uważać za rzecz nieudolną, ale trudno zaprzeczać tkwiącej w nim siły.

Tylko nieporozumieniem objaśnić mogę zarzut, że nowa sztuka się odwraca od zdrowego światła i blasku słonecznego. Ależ ona rozpoczynając od impresyonistów, do upadłego walczyła o wpuszczenie światła do sztucznie zacienionych pracowni i mieszkań! Przeciwnie, ona się oślepiającym jego blaskiem upajała, w poszukiwaniu najbardziej jaskrawych efektów oświetlenia nieraz do przesady dochodziła i skalę barw do nieznanego dawniej napięcia doprowadziła! Ba, dla możliwie doskonałego oddawania tych jasnych, słońcem i powietrzem przepojonych kolorów niektórzy malarze, np. Segantini, Martini, Signac, Rysselberghe — z świetnym skutkiem nową technikę malarską stosować zaczęli, gdyż stara, zasadzająca się na mechanicznem mieszaniu farb, zbyt słabą dla ich celów kolorystycznych się okazała. Ostatnio, co prawda, zauważyć się daje — że użyję trafnego określenia prof. Muthera—pewne odwrócenie się od ekstazy światła i znaczne przyćmienie poprzedniej jasności kolorów, ale chyba nie w chorobliwych objawach przyczyn tego zwrotu szukać mamy. Objaśnia się on dość prosto prawem kontrastów i świadomem dążeniem do odwiecznego ideału sztuki malarskiej — harmonii tonu ogólnego. Wogóle nie wolno zapominać, że i w świecie sztuki żyjemy teraz w dobie przełomów, gorących poszukiwań nowych torów i rozmaitych prób w kierunku rozszerzenia starych technik artystycznych; że nie wszystko, co na wystawach się pojawia, już jest dojrzałym owocem wyklarowanej, pewnej siebie twórczości. Zdaje mi się, że zbytnio się nie mylę, przypuszczając, że znaczna część zarzutów, jakie szanowny Poseł Prawdy przeciwko Wystawie Wiosennej wypowiedział, wywołane zostały próbami tego rodzaju i nietyle samej twórczości artystycznej, ile jej strony technicznej się tyczą. Czyż np. zarzut brył płaskich takim być nie przestaje, jeśli chodzi o malarstwo dekoracyjne, z konieczności mocno stylizowane i jako ornament płaski traktowane? Rozmazane linie mogą odpowiadać celowi, jeśli malarz tylko efektem plamy barwnej się interesował a szkicowość nie jest wadą tam, gdzie artysta wyłącznie oddanie pomysłu miał na myśli. Wogóle równowaga zupełna dwóch głównych pierwiastków malarstwa — linia a barwa — niezawsze osiągniętą bywa i często bardzo walka ich kończy się zwycięztwem jednego. Rysownik, uganiając się za doskonałą, piękną linią, nieraz zbyt mało kolor odczuwa, malarz zaś z urodzenia w dążeniu do możliwie świetnego wyzyskania problematu kolorystycznego, po macoszemu rysunek traktuje. Rozkochany w liniach Gotyku i Odrodzenia, wielki Ruskin nie mógł zrozumieć i obelgami obrzucił dzieła czysto malarskie wielkiego również artysty Whistlera, za co ten ostatni nawet głośny w swoim czasie proces mu wytoczył. Daje nam to naukę, że krytykowi nie wolno przystąpić do dzieła sztuki z owemi wymaganiami, dla twórcy wcale nieobowiązującemi; powinien tylko śledzić, o ile artysta sprostał zadaniu, które sam sobie postawił, o ile mu się udało środkami danej sztuki emocyę swoją wypowiedzieć.

Zasadę tę musimy stosować i do kwestyi wykończenia utworu, tak wielce subjektywnej. Chyba wątpliwości nie ulega, że w porównaniu z główną treścią dzieła sztuki — naturalnie jeśli ta udatnie wykonaną została — obrobienie szczegółów, drobiazgowe wykończenie każdej oddzielnej części wielkich trudności nie przedstawia i autor chyba zawsze na nie zdobyć się może, jeśli brak zręczności czysto technicznej lub materyalne warunki — np. brak środków do najęcia modelu — na przeszkodzie nie stoją. Sam przez się więc brak wykończenia sile twórczej ujmy nie czyni i stopień jego samym artystom pozostawianym być musi, którzy indywidualnemi upodobaniami, celami i przeznaczeniem utworu w takich razach się kierują. W każdym razie ustanowienie stałych granic jest tu wprost niemożliwe. Oczywiście w sztukach plastycznych piękno formy jest tak ściśle z treścią złączone, że w skończonych arcydziełach równowaga zawsze będzie zupełną i doskonałą, ale czyż takich dzieł posiadamy bardzo wiele? Potężne posągi Dnia i Nocy Michała Anioła mało na wartości utraciły, choć tylko z gruba ociosanymi pozostały. Również i „Syn marnotrawny“ Rembrandta arcydziełem pozostaje, nie bacząc na niewykończone, klocowate nogi klęczącej postaci, gdyż w cudownem oświetleniu i wyrazie głowy i rąk ojca wielkie serce malarza całą swoją emocyę wyrazić potrafiło.

Dobiegam do końca. Mimo świadomości, że, występując przeciwko znakomitemu publicyście, nierównym będę musiał walczyć orężem, wobec autorytetu i powagi szanownego Posła Prawdy, nie zbytecznem wydało mi się wykazać, że sądy jego o sztuce współczesnej zbyt subjektywne noszą piętno i zbyt mało na gruntownej znajomości przedmiotu są oparte, by na ogólne znaczenie zasłużyć mogły. Czy czytelnika nieuprzedzonego przekonać zdołałem?

Tak, niewątpliwie i artyści są dziećmi swego wieku i z wpływu życia otaczającego wyzuć się nie mogą. Ale wpływ ten na wybitne organizacye artystyczne, czerpiące materyał twórczy z życia własnej duszy, zbyt wielkim chyba nie bywa. W każdym zaś razie więcej niż wątpliwem się wydaje, czy dziedzictwo stanów chorobliwych całych społeczeństw kultem brzydoty, wypaczeniem i upośledzeniem formy w sztukach pięknych się odbija. Raczej odwrotnie. Historya sztuki nas uczy, że właśnie w epokach upadku i zwyrodnienia, w dobie wyczerpania kultury zamiłowanie do piękna powierzchownego, ubóstwianie czystej formy, do drobiazgowości doprowadzane jej wykończenie z jednej strony, a pominięcie głębszej myśli twórczej z drugiej zwykle wyłącznem dążeniem artystów się staje i całej sztuce cechę przeczulenia i przeładowania technicznego wobec pustki wewnętrznej nadaje. Jako przykłady dość wskazać na późną sztukę grecką, rzymską lub francuską z drugiej połowy XVIII stulecia. Również i w epokach bardziej żywotnych sztuki piękne nietyle cierpienia swego pokolenia, ile część jego tęsknot, marzeń, ideałów i dążeń niewyraźnych, jeszcze nieskrystalizowanych odzwierciadlają i w formy plastyczne ujmują. Sztuka wtedy się staje niby dopełnieniem życia potocznego. Taką ona była po rewolucyi francuskiej ze swoim ideałem wskrzeszenia cnót obywatelskich starych Rzymian, taką też rolę odgrywała w drugiej ćwierci zeszłego stulecia, kiedy dała wyraz skrytemu marzeniu o czynach romantycznych i wielkich namiętnościach podczas reakcyi. Z historyi naszej polskiej sztuki twórczość wielkiego mistrza Matejki znakomicie ten prąd ilustruje. Co do sztuki współczesnej dowieść się starałem — czy z skutkiem?—braku w niej śladów nerwicy i histeryi, tych pono ogólnych cierpień doby naszej. Być zresztą może, że przyszłemu historykowi nie przedstawią się wcale jako powszechna cecha naszej epoki, może znajdzie je tylko dla pewnych warstw charakterystycznemi? Natomiast w bezprzykładnym rozwoju malarstwa krajobrazowego, w szczerem, niepatetycznem oddawaniu przyrody znajdzie ślady tęsknoty naszej do pól zielonych, słońcem zalanych, do spokojnych widnokręgów dalekich, od których gorączkowe życie wielkomiejskie, koszary wielopiętrowe i dym tysiąca kominów fabrycznych nas coraz więcej oddalają. Znajdzie też oddźwięk całego naszego poglądu i stosunku do świata pracy fizycznej w stylowem i pogłębionem, iście artystycznem traktowaniu tematów z tej dziedziny, w posągach K. Meuniera, w obrazach Z. Frederica i wielu innych. Nareszcie w tem upartem dążeniu do wytwarzania nowego stylu, obejmującego wszystkie gałęzie sztuki, w tysiącznych próbach możliwego jego zastosowywania do potrzeb życiowych całego społeczeństwa znajdzie odgłosy naszego ideału harmonijnego, pięknem okraszonych stosunków ludzkich.

Paweł Ettinger.

Protest powyższy jest jednym z momentów tej gry w „chowanego,“ jaka się zwykle odbywa w polemikach o rzeczy nieokreślone. Nowemu kierunkowi w sztuce nadano nazwę „modernizmu.“ Jest to wyraz ogólny, z nieustalonemi granicami, z nieuchwytną i wieloznaczną treścią, pozwalający każdemu wnieść doń co się podoba. W tym omnibusie jeżdżą najrozmaitsi artyści, a jeżeli nawet są do sie-

bie podobni, to przecie można po za nimi wskazać całkiem odmiennego, który także ma prawo nazwać się „modern,“ czyli — nowoczesnym. Z tej wieloznaczności wyrazu skorzystał szeroko w swych zarzutach p. E. Odpowiedź na nie bardzo prosta: w nowoczesnej sztuce objawiła się wyraźna dążność do przedstawienia brzydoty i chorobliwości środkami wysoce niedbałymi. Jest to fakt. Dążność ta wystąpiła jaskrawo na Wystawie Wiosennej. O tym kierunku u nas i na szerszym świecie mówił autor „Liberum veto.“ Dlaczego p. E. (który zresztą wystawy nie widział) nie zamknął swych wywodów w tych granicach, w których zawarł swoje Poseł Prawdy? Może nie potrzebowałby tak ubolewać nad jego nieznajomością rzeczy.

Do Szanownej Redakcyi „Prawdy.“

W artykule „Wróg ludu,“ w nr. 34 *Prawdy*, czytam: „Za kamienie, które do budowy wielkiego sanatoryum dr. Dłuskiego chciano zbierać z przeciwległych pól hrabiego, zażądał on takiej zapłaty, że korzystniejszem okazało się sprowadzenie ich z odległości 20 kilometrów i od zwykłych śmiertelników, nie hrabiów.“

Ustęp powyższy nie jest zgodny z prawdą, gdyż cały zapas kamienia do budowy sanatoryum został kupiony w kamieniołomie hr. Władysława Zamojskiego. Upraszając Szan. Redakcyę o łaskawe wydrukowanie mego sprostowania, pozostaję z poważaniem

Dr. Kazimierz Dłuski
Dyrektor Sanatoryum.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Oberpolicmajster warszawski, na mocy rozporządzenia z d. 31 stycznia r. b. polecił zamknąć w Warszawie biura pomocy prawnej.

— Ogłoszony został komunikat rządowy w sprawie powiększenia liczby powiatowych okręgów policyjnych w gub. Połtawskiej.

— Według doniesienia *Gaz. Kieleckiej*, sprzedaż przez licytacyę Pieskowej Skały nie będzie dokonaną, gdyż Tow. kred. ziemskie otrzymało raty zaległe.

— Na odbytym w Zakopanem zjeździe delegatów, urządzających obchód jubileuszowy Maryi Konopnickiej, oznaczono termin głównej uroczystości w Krakowie na pierwszą połowę października.

— Król włoski wydał rozkaz, aby w domach karnych zniesiono kajdany, nakładane więźniom.

— W Tyflisie zabroniono mieszkańcom noszenia broni.

— Król belgijski podpisał ustawę, która zabrania gier hazardowych w całem państwie.

— Londyn, wraz z przedmieściami, według ostatnich obliczeń, posiada 6,500,000 mieszkańców.

Z Poznańskiego. Z lejarni Kolonowskiej, na Śląsku, wydalono czterdziestu kilku robotników z tego powodu, że należą do polsko-chrześciańskiego „Związku pomocy wzajemnej.“

— Prezes policyi w Poznaniu, zakazał urządzenia obchodu na cześć Maryi Konopnickiej, ponieważ w pewnem piśmie amerykańsko-polskiem ukazał się jej wiersz, z powodu którego w Niemczech nakazano na mocy wyroku sądowego pismo to skonfiskować. Gdy wykazono, że wiersz ten był podpisany przez Karolinę Budnikową, a nie przez Konopnicką, prezes policyi oświadczył, że to może jest tylko pseudonim. Zresztą, dla czego Polacy chcą urządzić obchód na cześć Konopnickiej, a nie urządzili go na cześć Goethego? (*Gaz. Polska*).

Szkoły i wychowanie. Zatwierdzoną została ustawa Towarzystwa pomocy dla niezamożnych uczniów warszawskiej 7-klasowej szkoły handlowej.

— Osoby, składające egzamin na lekarza zębów i dentystę, wnosić mają do uniwersytetu opłatę na koszty egzaminacyjne 20 rb. na tytuł lekarza i 10 rb. — dentysty.

— Towarzystwo bratniej pomocy słuchaczów Politechniki we Lwowie zawiadamia, że udziela wszelkich informacyj pragnącym się zapisać na rok przyszły do Politechniki lwowskiej. Adres Lwów — Politechnika.

— Ministeryum oświaty wydało rozporządzenie, że osoby, posiadające wyższe wykształcenie fachowe, mogą być dopuszczane do wykładu przedmiotów technicznych, w szkołach średnich i niższych, bez poprzedniego odbywania lekcyj próbnych.

— Zarząd Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego, urządza w roku bieżącym praktyczne kursa zużytkowania owoców; odbywać się one będą w muzeum Towarzystwa (Wiejska nr. 12) od d. 22 września przez dni dziesięć; program następujący: suszenie owoców i warzyw, wyrób win owocowych, miodów i octów; przygotowanie marmelad, galaret i soków owocowych; wyrób konserw (kompotów) owocowych; zbiór, przesyłanie i przechowywanie owoców. Na kursa przyjmowani będą mężczyźni i kobiety. Opłata 10 rb.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora war. okręgu naukowego, iż osoby, posiadające wykształcenie domowe, dopuszczone być mogą do egzaminów ze znajomości danego lub całego kursu wykładowego średnich zakładów naukowych, z tym warunkiem, ażeby do egzaminów z dwóch wyższych klas gimnazyalnych, lub szkół realnych, przystępowali ci kandydaci, którzy przed rokiem złożyli egzamin z kursu niższej klasy, a do egzaminów 3-ch lub 4-ch klas ci, którzy przed dwoma laty egzaminowani byli ze znajomości nauk klasy niższej. Przy powyższej decezyi ministeryum oświaty zwraca uwagę radom pedagogicznym, aby przestrzegały odpowiedniego wieku przystępujących do egzaminów rzeczonych, przyczem do egzaminu z całego kursu średnich szkół przystępować mogą kandydaci niemłodsi, nad 16 lat ukończonych.

Wiadomości naukowe. Dziewiąty wszechrosyjski zjazd lekarzy w Petersburgu odbędzie się w połowie stycznia roku przyszłego. Uczestnicy zjazdu, mający zamiar wystąpić z referatami, winni zgłaszać się do sekretarza komitetu (Sadowa 5—10, Petersburg).

Literatura i prasa. Na wydawanie nowych pism w Warszawie otrzymali pozwolenie: 1) P. Józef Pawłowski na tygodnik w języku polskim p. t. *Piękno*, poświęcony malarstwu, rzeźbie i budownictwu z dodaniem działu beletrystycznego. 2) Adwokat przysięgły Paweł Trzciński—na tygodnik p. t. *Biblioteka dla młodzieży*, poświęcony beletrystyce, opisom podróży, popularyzacyi nauk przyrodniczych itp. 3) Dr. Jerzy Bruner—na tygodnik *Lekarz*, poświęcony zarówno sprawom ściśle specyalnym, jak i poradom praktycznym z zakresu medycyny i hygieny. 4) dr. Czesław Stankiewicz—na miesięcznik specyalny p. t. *Ginekologia*, poświęcony temu odłamowi medycyny. Oprócz tego p. Leonowi Chojeckiemu pozwolono zmienić tytuł tygodnika *Meloman* na *Nowości muzyczne*, z dodatkiem miesięcznym bezpłatnym.

— Od d. 1 października wychodzić będzie w Dortmundzie, w Westfalii, pismo polskie p. t. *Gazeta ludowa*.

Ze sztuki. Delegacya Architektoniczna w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie ogłasza konkurs na projekt nowych budynków, które mają być wzniesione dla celów muzealnych. Projekty mają być wykonane szkicowo, ale jasno i zrozumiale; winny się składać: a) z planów wszystkich kondygnacyj z objaśnieniem przeznaczenia lokalności; b) z przekrojów; c) z elewacyi lub perspektywicznego widoku od ul. Krakowskie-Przedmieście, o ile zostanie zaprojektowana przeróbka lub nadbudowa gmachu frontowego. Wyznaczono dwie nagrody: 250 i 125 rb. za szkice względnie najlepsze. Komitetowi Muzeum przysługuje prawo nabywania szkiców nienagrodzonych po 50 rb. Prace przysyłać należy do Kancelaryi Muzeum do d. 15 października r. b. Przyznanie nagród nastąpi w d. 31 października r. b.

— P. Czesław B. Jankowski, artysta-malarz, otrzymał na międzynarodowej wystawie połączonych miast Aix i Marsylia, najwyższą nagrodę („Grand prix“), za obraz przedstawiający „Robotnika przy pracy.“

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum rolnictwa powzięło zamiar nabywania na własność skarbu lasów prywatnych. W tym celu byłaby wypuszczana w pewnych okresach czasu leśna renta państwowa czteroprocentowa, na 5 milionów rb., pokryta następnie dochodami z lasów nabytych.

— Ogłoszono Najwyżej zatwierdzoną uchwałę komitetu ministrów, na mocy której minister skarbu otrzymał prawo zakazu przywozu na rynki rosyjskie tych papierów wartościowych, których wprowadzenie w porozumieniu z ministrem spraw zagranicznych, uzna za szkodliwe dla interesów państwa. Rozporządzenia w tym przedmiocie będą telegraficznie podawane odnośnym komorom celnym.

— W Berdyczowie od d. 31 b. m. do 14 września otwarta będzie wystawa rolniczo-przemysłowa.

— W Atenach otworzona będzie d. 28 października międzynarodowa wystawa przemysłu, handlu, sztuki i hygieny.

— W Finlandyi, nad jeziorem Entere, odkryto pokłady rudy złota, zawierającego się w krzemieniu.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj poleciło dokonać próby z oświetleniem acetylenowem na kolejach południowo-zachodnich. W razie pomyślnej oceny wszystkie koleje państwowe otrzymałyby to oświetlenie.

— Zostało wydane prawo, mocą którego koleje, w razie nieprzybycia bagażu w jednym pociągu z podróżnym, obowiązane będą wysłać go bezpłatnie do stacyi żądanej.

— Postanowiono wprowadzić pociągi komunikacyi bezpośredniej między Wierzbołowem lub Warszawą a Port-Arturem.

— Koleje południowo-zachodnie wprowadziły bezpośrednią komunikacyę osobową między Warszawą a Odesą.

— Zarządy kolejowe opracowują przepisy unormowania, w drodze prawodawczej, dnia roboczego dla służby stacyjnej.

— Przy ministeryum dróg i komunikacyj opracowano projekt urządzenia wzdłuż linij kolejowych kolonij dla urzędników. Zgodnie z projektem zarządy kolejowe będą miały prawo wywłaszczenia wzdłuż drogi pewnych obszarów gruntu. Uzyskane tym sposobem działki ziemi kolej będzie wydzierżawiać swoim urzędnikom na lat 15 po cenie 1 kop. za sążeń kwadratowy. Ażeby ułatwić urzędnikowi-dzierżawcy wybudowanie na wydzierżawionym gruncie odpowiedniego domku mieszkalnego, zarząd zaofiaruje tytułem pożyczki 15-letniej na 4% sumę, równającą się podwójnej rocznej pensyi urzędnika. Po spłacie tej pożyczki w ciągu lat piętnastu termin pierwotny dzierżawy gruntu przedłuża się na nowe 15-lecie na uprzednich warunkach. W razie ustąpienia z kolei urzędnika, traci on prawo i do dzierżawy i do budynku, za który, zgodnie z opinią specyalnej komisyi szacunkowej, będzie mu wypłacone odpowiednie wynagrodzenie. Projekt powyższy został rozesłany zarządom kolejowym do rozpatrzenia.

— Ministeryum komunikacyj poleciło, aby na posady telegrafistów kolejowych przyjmowano osoby z wykształceniem co najmniej szkół niższych. W celu zaś przyciągnięcia kandydatów inteligentnych, powzięty został zamiar utworzenia kredytu na systematyczne podwyższanie pensyj.

Katastrofy. W Kapsztadzie parowiec hamburski „Kewer“ zetknął się z barką angielską, która zatonęła wraz z 20 osobami.

— Na Renie zderzyły się dwa parowce, „Wiktorya“ i „Kolonia.“ Pierwszy zatonął z kilkoma osobami.

— Na wyspie Borneo pożar zniszczył zupełnie miasto i port Pontianak.

— Z Jokohamy donoszą, że d. 13—15 b. m. skutkiem wybuchów wulkanicznych zapadła się zupełnie w morze wyspa Torishima, którą zamieszkiwało przed wybuchem około 200 osób.

— W stanie Nicholson, w Meksyku, pękła ziemia na szerokości 300 stóp w 16-kilometrowej długości.

— Mont-Pelée ponownie wybucha.

Zmarli. Dr. Leopold Schenk, b. profesor embryologii w uniwersytecie wiedeńskim. Jest on twórcą znanej hipotezy o określeniu z góry płci dzieci przed ich narodzeniem. Zmarł w Schwanenbergu, w Styryi, w 62 roku życia.

— Dr. Karol Graff, b. profesor szkół rolniczych w Żbikowie pod Poznaniem i w Czernichowie pod Krakowem, b. redaktor *Gazety Toruńskiej*.

Odpowiedzi Redakcyi.

Chamowi z P...l. Jak przedtem, tak i teraz, artykuł Pański nie dla nas.

OGŁOSZENIA.

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50** (na wyczerp.)

Tom II: Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 k. 20** (wyczerpany).

Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 kop. 20.**

Tom IV: Piękna, Aspazya. **Rb. 1 kop. 50.**

Tom V: Trylogia Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. **Rb. 1 kop. 50.**

Tom VI: Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 kop. 20** (wyczerpany).

Tom VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 kop. 50.**

Do nabycia w Administracyi *Prawdy*.

Wyszło w czterech odzielnych częściach dołączane w dodatku kwartalnym do „PRAWDY“ dzieło p. t.:

Wiek XIX

Zagadnienia moralne: A. Darlu: *Klasyfikacya współczesnych idei moralnych.* — P. L—e: *Rodowód idei sprawiedliwości i dobra.*— G. Belot: *Zbytek.* — H. Höffding: *Rodzina.*

Cena kop. 60, z przesyłką rekomend. 75 kop.

Wiek cudów ALFREDA WALLACE'A (tłom. z angielskiego)

Cena 90 k., z przesyłką rekom. 1 rb. 10 k.

Ekonomia i Socyologia w opracowaniu Dr. S. GRABSKIEGO i Dr. K. KRAUZA. Cena 60 kop., z przes. rekom. 75 k.

Historya polityczna, rys dziejów stulecia, w opracowaniu H. GALLEGO. Cena 50 kop., z przesyłką rekom. 65 k.

Skład główny w Administracyi „Prawdy,“ Sadowa 14.

PORADNIK DLA SAMOUKÓW,

(wydawany z zapomogi Kasy pomocy naukowej im. Mianowskiego) zawiera **wskazówki do czytania systematycznego** w zakresie wszystkich działów naukowych, począwszy od książek popularnych

CZĘŚĆ I-sza (w wydaniu drugiem. Warszawa, 1901; str. XLII+728, C. 1 rb.
Treść: Matematyka. Nauki Przyrodnicze z Psychologią.

CZĘŚĆ II-ga. (Warszawa, 1899; str. XIV+695. Cena kop. 80).
Treść: Nauki Filologiczne i Historyczne.

CZĘŚĆ III-cia. (Warszawa, 1900; str. X+446. Cena kop. 80).
Treść: Nauki Społeczne, Prawne i Filozoficzne.

CZĘŚĆ IV ta i ostatnia (świeżo wydana).

TREŚĆ: Wstęp (Zestawienie bibliografii naukowej 4 tomów „Poradnika“) Wykaz braków naszego piśmiennictwa naukowego, opr. zbiorowe. — System wykształcenia i wykształcenie ogólne; program wykształcenia ogólnego opr. L. Krzywicki. — Logika iteorya poznania, opr. A. Mahrburg. — Filozofia i metafizyka, opr. A. Mahrburg. — Pedagogika, opr. S. Karpowicz. — Metodyka, opr. A. Szyc. — Historya pedagogiki, opr. Piotr Chmielowski. — Popularyzacya wiedzy i samouctwo (biblioteki i uniwersytety ludowe). — Dopełnienia do 3-ch pierwszych tomów. — Skorowidz do części III i IV. — Pytania i odpowiedzi. (Warszawa, 1902, str. CXIII+492, z 21 ilustracyami w tekście. Cena 1 rb. 20 kop).

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

A. MAKSIMOW:

Syberya i ciężkie roboty

Winni i oskarżeni . . . . 1 rb. 20 kop.
Przestępcy polityczni i państwowi 1 rb. 20 kop.

Z przesyłką rekomendowaną 1 rb. 40 kop.

Skład w administracyi „Prawdy.“

Wydawnictwa „Prawdy“

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rb. 3.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii**—rb. 3.

Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka**—rb. 2.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne,** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rb. 3.

Huxley — Rosenthal. **Zasady fiziologi** — rb 2.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** — rb. 1.

H. Posnett. **Literatura porównawcza** — rb. 2.

N. Hirszband. **Byron w urywkach** — kop. 50.

K. Lewald. **Historya XIX w., od r. 1800—1888** — rb. 3. k. 30.

Prof. R. Falkenberg. **Historya filozofii nowożytnej**, w przekładzie W. M. Kozłowskiego — rb. 2 kop. 40.

Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana). Cena zniżona — rb. 1 kop. 50.

Dr. J. Dallemagne. **Człowiek zwyrodniały** — rb. 2.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny.

Mignet: **Historya Rewolucyi Francuskiej,** 2 t rb. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla zwykłej ceny należy dołączyć kop. 15.

Spółka Nakładowa

poleca resztującą niewielką ilość egzemplarzy następujących wydawnictw swoich:

Dr. Piotr Chmielowski:

ZARYS NAJNOWSZEJ LITERATURY POLSKIEJ
(1864—1897).

Nowe, przejrzane i znacznie powiększone wydanie, str. 516.—Cena rubli trzy z przesyłką pocztową 3 rb. 40 k.

Okolski A.

Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki
Cena 3 ruble.

BRANDES JERZY. **Główne prądy literatury europejskiej XIX w.** Szkoła romantyczna we Francyi. Z portretem autora, str. 402—rs. 1 k. 50.

SMOLEŃSKI WŁ.: **Drobna szlachta w Królestwie Polskiem,** studyum etnograficzno-społeczne — kop. 60.

Śpiewnik dla dzieci z tekstem M. Konopnickiej i muzyką Z. Noskowskiego. Wydanie ozdobne z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera 50 piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny. Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

HEINE HENRYK. **Wybór pism,** t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne z portretem autora, str. 298 — kop. 60

— **Wybór pism,** t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str XIII 328 — rs. 1.

— **Wybór pism,** t. III. Księga „Legrand.“ Florenckie noce, w przekładzie M. Konopnickiej. Cena rb. 1.

CHMIELOWSKI PIOTR DR. **Autorki polskie XIX wieku,** Studyum literacko-obyczajowe. ozdobione sześciu portretami, str. 541—rs. 2.

MÉYET LEOPOLD: **Liście,** fragmenty i szkice, z wierszem wstępnym Maryi Konopnickiej—rb. 1 kop. 20.

— **Kilka słów o szkołach zawodowych w Zakopanem,** z rysunkami C. B. Jankowskiego—kop. 60.

Na przesyłkę do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Skład główny w Administracyi „Prawdy,“ Sadowa 14

Do nabycia w handlu księgarskim

L. KRZYWICKIEGO:

SYSTEMATYCZNY KURS

ANTROPOLOGII

Rasy psychiczne: I. Psychologia etniczna, jej przeszłość i stan dzisiejszy II. Człowiek i otoczenie. III. Właściwości duchowe ludów. IV. Mechanizm przekształcającej się rasy psychicznej. V. Specyalne rasy psychiczne. VI. Rasy psychiczne w stosunku do typów fizyczno-antropologicznych. VII. Historyozofia rasowa. VIII. Ogólne prawa rozwoju psychiki społecznej.

Warszawa 1902. Str. 309, 16 z mapkami. Cena rb. 1 kop. 20.

Redaktor i Wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 14 Августа 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.